NR 23 (99)
ROK III

TYDZIEŃ

13. VI. 1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

W UPALNY DZIEŃ CZERWCOWY

100 NASTĘPNY SETNY NUMER „TYGODNIA" UKAŻE SIĘ W ZNACZNIE POWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI I BOGATĄ SWĄ TREŚCIĄ UPAMĘTNI JUBILEUSZ NASZEGO PISMA **100**



Chłopczyk czy dziewczynka?... Odpowiedź na str. 7 nad kuponem plebiscytowym (Konkurs Nr. 647).

„NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA"

Zapowiadana przez nas premia plebiscytowa w **Konkursie Dziecka** znajdzie się w najbliższym 100-tnym numerze „TYGODNIA". Kupon plebiscytowy z tego numeru będzie w głosowaniu obliczany jako

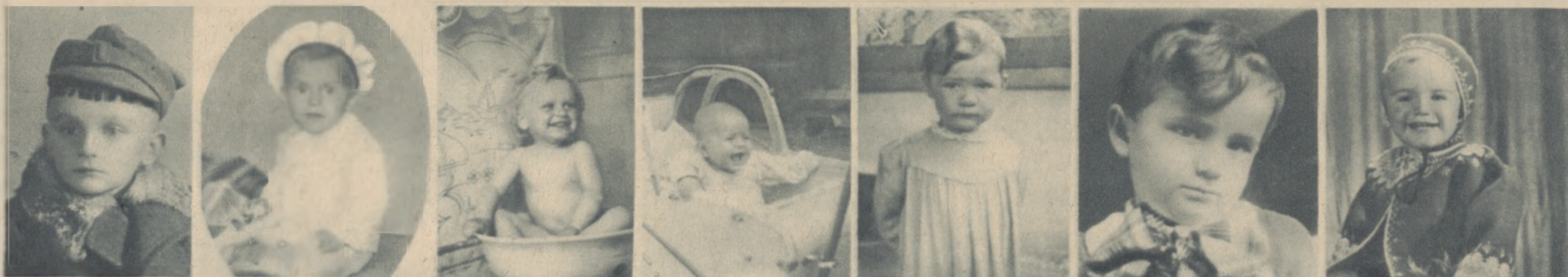
10 punktów!



Joasia Turowiczówna najchętniej sypia w tak oryginalnej pozycji zwinięta na kształt „rolmopsika" (Konkurs Nr. 648).

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

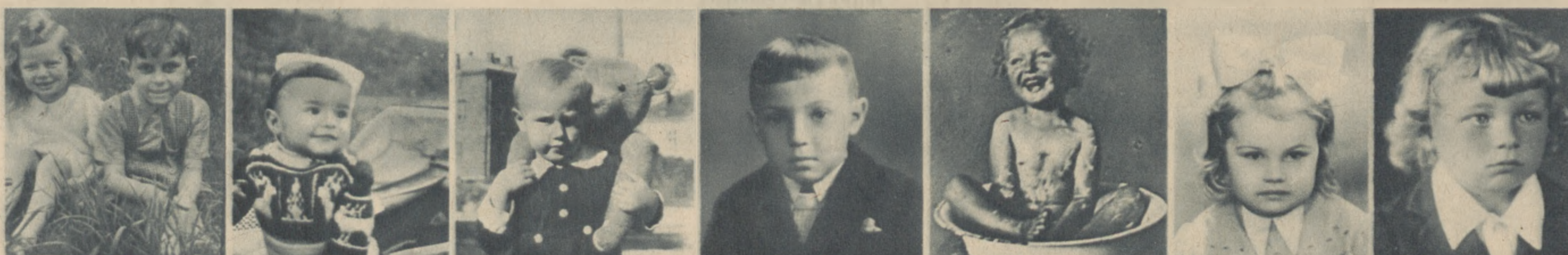
NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY



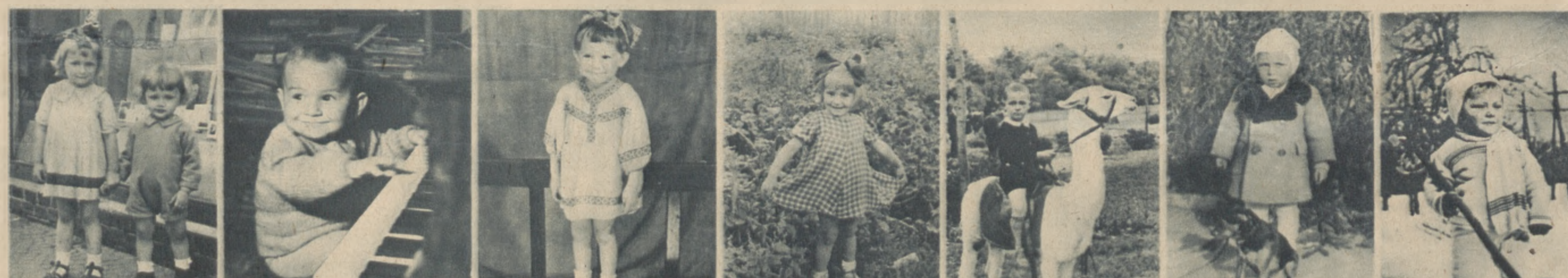
Od lewej 588 Martuś z Zagania, 589 Jacuś Pankiewicz (Skarżysko-Kamienna). 590 Włodzio Kulka (Jarocin), 591 Krysia Musiałówna z Kielc wita swym uśmiechem wiosnę, 592 Krysia Foege z Pleszewa oczekuje powrotu tatusia, 593 Mareczek Rębalski z Ełka tęskni za Warszawą, 594 Krzyś Wolski (Wągrowiec).



od lewej: 602 Pawełek Walerowicz (Płock), 603 Maguni Kaczmarczyk z Zalesia brak butów, 604 Miecio Narożny pragnie wrócić do Warszawy, 605 Bodzio Marciniak z Łodzi, kiedy był jeszcze grzeczny, 606 Anusia Dramczyk (Gostynin), 607 Jędruś Susmarski (Grudziądz), 608 Leszek Dziemski (Lublin).



od lewej: 609 Kto z nas ładniejszy?, 610 Zbyszek Jarocki (Kraków), 611 Zbyszek Hornung (Kraków), 612 Adaś Salwerowicz (Starachowice). 613 Czekoladowa kąpiel Wandzi Szymanowskiej z Łodzi, 614 Ludka Szymanowska (Olsztyn), 615 Zdzisio Kolenkiewicz (Suwałki).



od lewej: 616 Zosia i Staś Bobrowiczc (Kożuchów), 617 Jędruś Kulak (Kraków), 618 Alinka Łopuchówna (Kutno), 619 Elżunia Nawrocka (Warszawa), 620 Andrzejek Czechowski (Borki), 621 Dziduś Kozłowski z Poznania jest miłośnikiem zwierząt, 622 narciarz Krzyś Majczak (Gołonóg).



od lewej: 623 Czy to wypada w koszuli stawać do konkursu?, 624 Halinka Łabanówna (Pasłęk), 625 Romuś Smogorzewski (Samowicze), 626 Góral ci ja góral, 627 jest nas zawsze dwóch zuchów w Radomiu, 628 Rysio Kozłowski (Gdańsk), 629 Warszawiak Piotruś Alapin obecnie mieszka w Łodzi.



od lewej: 630 Rysio Dejs (Krosno n/Odrą), 631 Alisia Hołuszczak (Wolsztyn). 632 Kamilek Banaszek (Gdynia), 633 Heniuś i Romcio Szotarscy (Bydgoszcz). 634 Maryjka Offierska (Białogard), 635 O jej! Ona się dziobie! 636 Marysia Sojkówna (Katowice).



489 Juruś Wszołek (Kutno), 536 Ulusia może nie piękna, lecz miła 639 Ewunia Offierska (Białogard). 528 Zdzisia i Emilka Szymczak (Polanica Zdrój) 646 Bartuś Zwierzchowski (Chodaków). 517 Inga Szewczyk (Ostróda) 637 Zbyszek Ryczko (Gdynia).

ALEXANDER THEN

RYSY NA ZWIERCIADLE

IMPERIUM Brytyjskie, stworzone głównie za długoletnie go panowania królowej Wiktorii i oparte na sile i przemocy, przechodziło różne ewolucje, od faktoryjnego do kolonialnego i od kolonialnego do kolonialno-dominialnego. Brytyjską „wspólnotę narodów" (British Commonwealth) stanowią w tej chwili tylko dominia i one wraz z macierzą brytyjską stanowią właściwy trzon Imperium.

Najbardziej zasadnicze zmiany w strukturze Imperium Brytyjskiego zaszły po obu wojnach. Jest to zjawisko, występujące niejako z nieodpartej konieczności, że każda wojna przynosi w całym świecie kolosalne zmiany. Nie mogła przeto oszczędzić Imperium Brytyjskiego, które w obu ostatnich wojnach brało tak wybitny udział.

Aż do pierwszej wojny światowej dzisiejsze dominia brytyjskie były po prostu terytoriami brytyjskimi, rządzonymi centralistycznie przez rząd londyński za pośrednictwem urzędujących na miejscu gubernatorów. W tym okresie między np. Somalią afrykańską, a Australią nie było żadnych różnic. Oba terytoria traktowane były, jak kolonie. Stan ten przetrwał aż do najnowszych czasów, jakkolwiek wyzwolenie się dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej stanowiło dla Wielkiej Brytanii poważny wstrząs, który nie pociągnął jednak za sobą ruchów odśrodkowych innych posiadłości brytyjskich. Nawet sąsiadująca ze Stanami Zjednoczonymi Kanada pozostała wierną macierzy brytyjskiej, choć wojna o wyzwolenie ocierała się bezpośrednio o jej granice.

Pierwsza wojna światowa spowodowała jednak dużą emancypację polityczną niektórych posiadłości brytyjskich i wywołała konieczność przeprowadzenia znacznej decentralizacji władzy. Po prostu praktyka codziennego życia wykazała, że w trudnych warunkach wojennych nie można skutecznie rządzić odległymi terytoriami. Wyłoniła się konieczność powołania do życia rządów miejscowych, a wówczas zbyteczną okazała się instytucja gubernatora. Na jego miejsce powołany został komisarz, będący łącznikiem między koroną, a odległymi posiadłościami. W zmienionych warunkach jedyną więzią poza poczuciem przynależności do jednej rodziny narodów była osoba monarchy.

DRUGA wojna światowa spowodowała jeszcze większe zmiany w strukturze Imperium Brytyjskiego, wynikające ze słabości W. Brytanii na skutek przemian politycznych i ekonomicznych. Nie mniej jednak bezkompromisowy i bezlitosny system kolonialny brytyjski nie uległ zmianie. Zmieniły się tylko metody. Imperium oparte na zasadzie siły musiało ustąpić miejsca tworowi innemu, opartemu na zasadzie porozumienia.

Dramatyczny przebieg ostatniej wojny zdawał się wróżyć rychły koniec Imperium, które odbiegło już daleko od wzorów wiktoriańskich. Fakt, że np. Australia i Nowa Zelandia, zagrożone przez najazd japoński nie mogły uzyskać ze strony macierzy brytyjskiej żadnej pomocy, zbyt od niej oddalone, natomiast, że pomocy takiej mogły zagrożonym dominiom udzielić bliżej położone Stany Zjednoczone, zdawał się przewidywać pewne ruchy odśrodkowe na terytoriach, położonych na obwodzie koła imperialnego. Kanada ze swej strony znalazła się w samym ośrodku wpływów amerykańskich i nie brak było pesymistów nawet w granicach Imperium, którzy bardzo sceptycznie zapatrywali się na przyszłość Imperium Brytyjskiego.

Tymczasem okazało się, że ruchy separatystyczne objawiły się w tych posiadłościach brytyjskich, które w brytyjskiej wspólnocie narodów reprezentowały element obcy rasą, mową, religią itp. Odnosiło się to głównie do Indii i posiadłości sąsiednich, pod koniec wojny również do Palestyny, jakkolwiek Palestyna nie stanowiła składowej części Imperium, jako terytorium mandatowe, pod czasową władzą brytyjską. Separatyzm Indii posunął się tak daleko, że niektórzy Hindusi gotowi byli włączyć swój kraj do organizowanego wschodnio-azjatyckiego imperium japońskiego, aby tylko oderwać się od Imperium Brytyjskiego.

Rozwiązanie tego stanu rzeczy narzucało się siłą faktu i w sposób integralny musiało być włączone do imperialnej polityki brytyjskiej.

MOTOREM wszelkich ruchów wyzwoleńczych spod władztwa obcego imperializmu jest w pierwszej fazie nacjonalizm. W bezpośrednim okresie powojennym nacjonalizm ten zaznaczył się nie tylko w Indiach, w Burmie, na wyspie Ceylon, ale również w wielu innych posiadłościach brytyjskich, w sposób mniej, lub bardziej ściśle związanych z brytyjską wspólnotą. Imperium zaczęło trzeszczeć w kilku szwach na raz. W pierwszym rzędzie dojrzało do rozwiązania zagadnienie Indii. Podzielone na część hinduską i muzułmańską, Indie otrzymały w pierwszej fazie statut dominialny. Nie jest to proces ostateczny i zarówno Indie, jak i Pakistan znajdują się bezsprzecznie na drodze do uzyskania całkowitej niezawisłości, takiej, jaką uzyskała Burma. Statut dominialny uzyskała również wyspa Ceylon.

W tym rejonie kapitulacja W. Brytanii była dotkliwa.

Na Środkowym Wschodzie ruch odśrodkowy objął Palestynę i Egipt. Imperialistyczna polityka brytyjska w Palestynie nie stworzyła warunków współżycia obu zamieszkujących ten kraj narodów, gdyż nie to było celem polityki brytyjskiej w Palestynie, lecz utrzymanie korzystnej bazy dla obrony rejonu kanału Sueskiego, stanowiącego najważniejszą, życiową arterię komunikacyjną Imperium. Wielka Brytania opuściła Palestynę, ale skutki jej polityki długo jeszcze będą ciążyć nad tym nieszczęsnym krajem, pogrążonym w wirze bratobójczej walki.

SĄSIEDNI Egipt wysunął żądanie nie tylko takiego rozluźnienia traktatu z Wielką Brytanią, który przywróciłby temu krajowi wszystkie prawa suwerenne na swym terytorium z obroną kanału Sueskiego, ale podniósł również hasło jedności doliny Nilu, co oznacza żądanie opuszczenia przez Wielką Brytanię Sudanu.

Spór egipsko - brytyjski wskazuje również na słabość Imperium Brytyjskiego, jakkolwiek dramat palestyński wskazuje, że rząd brytyjski, wierny polityce imperialistycznej, dąży do utrzymania pod swą dominacją krajów Środkowego Wschodu.

Ostatnio zaszedł jednak wypadek, który wywołał w Londynie wielkie poruszenie i wiele obaw o jedność Imperium. W ostatnich wyborach w Unii Południowo - Afrykańskiej zwyciężyła wbrew wszelkim przewidywaniom partia nacjonalistyczna. Dotychczasowy premier feldmarszałek Smuts nie został nawet wybrany do nowego parlamentu. Wprawdzie jego partia zachowała większość głosów, ale na skutek jednomandatowej ordynacji wyborczej większość mandatów zdobyli nacjonaliści, wśród których poważny procent stanowią Niemcy.

Już podczas wojny partia nacjonalistyczna wypowiedziała się przeciw udziałowi Unii w wojnie przeciw Hitlerowi. Wiadomo, że nurtują w niej nie tylko najgorsze tendencje rasistowskie, zmierzające do odebrania wszelkich praw kolorowej większości ludności Unii, ale również tendencje separatystyczne, zmierzające do oderwania Unii Południowo - Afrykańskiej od Imperium Brytyjskiego i do ogłoszenia niezależnej republiki.

Trudno przewidzieć, o ile te obawy Londynu są uzasadnione. W każdym jednak razie rządy Unii w rękach nacjonalistów stanowią objaw dalszego rozkładu Imperium Brytyjskiego, a realizacja programu separatystycznego pozbawiłaby Imperium ważnego członu wiążącego Imperium na dalekim dystansie Londynu do Indii, Australii i Nowej Zelandii i ważnej bazy strategicznej.

Indie, Burma, Ceylon, Palestyna, Egipt, Sudan — to poważne rysy na gładkim obrazie Imperium Brytyjskiego, które po okresie rozkwitu wchodzi w sposób zdecydowany w okres szybkiej dekadencji. Wypadki w Południowej Afryce przyśpieszają zupełnie wyraźnie ten proces.

ROZEJM W PALESTYNIE

Rada Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych zdołała wreszcie wymusić na rządach krajów arabskich zgodę na rozejm na przeciąg 4 tygodni. Nie jest to rozwiązanie, które może zadowolić. Wysiłki delegacji radzieckiej i amerykańskiej w Radzie Bezpieczeństwa, by najazd arabski na Palestynę uznać za fakt, naruszający pokój natrafił na sprzeciw ze strony Wielkiej Brytanii, za którą wypowiedziało się kilka innych delegacji. W rezultacie przyjęty został wniosek brytyjski, by zwrócić się do prowadzących wojnę stron o zawarcie rozejmu na 4 tygodnie. W ciągu tego czasu specjalny pośrednik ONZ, hr. Folke Bernadotte, ma przeprowadzić na miejscu rozmowy z przedstawicielami obu stron i przedstawić wnioski, zmierzające do trwałego rozwiązania problemu palestyńskiego.

Trudno przewidzieć, jakie będą rezultaty tych wysiłków i czy ostatecznie Organizacja Narodów Zjednoczonych nie będzie musiała siłą narzucić swych decyzji upartym krajom arabskim. Nie wiele przemawia za tym, aby Arabowie zgodzili się na podział Palestyny. Podkreślają oni stale konieczność zachowania jedności politycznej Palestyny, jakkolwiek wydaje się, że gotowi są zrezygnować ze swego maksymalnego żądania utworzenia z Palestyny państwa arabskiego. W tym wypadku byliby zapewne skłonni do zgody na państwo dwunarodowe, albo na zasadach federacji, albo autonomii dla obu narodów ze wspólnym rządem. Żydzi ze swej strony trzymają się ściśle uchwał Organizacji Narodów Zjednoczonych, która zadecydowała o podziale kraju. Nie jest wykluczone, że w razie niemożności realizacji tej uchwały Żydzi zgodziliby się na państwo dwunarodowe pod warunkiem zagwarantowania wolnej imigracji żydowskiej do Palestyny, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze, celem uniknięcia zbyt silnej majoryzacji Żydów przez Arabów, gdyż przyrost naturalny arabski jest o wiele silniejszy, aniżeli żydowski, po drugie, ponieważ imigracja przyczyni się jednocześnie do rozwiązania problemu żydowskiego w Europie.

Tak, czy inaczej Organizacja Narodów Zjednoczonych wystawiona jest na ciężką próbę. We własnym łonie musi walczyć z Wielką Brytanią, która nie chce się wyrzec swych imperialistycznych celów na Środkowym Wschodzie i zamierza wygrać do końca swe koniunkturalne atuty w walce rywalizacyjnej w tym rejonie ze Stanami Zjednoczonymi, z drugiej strony ONZ musi narzucić swą wolę krajom arabskim, które nie zdradzają najmniejszej woli do poszanowania jej uchwał, narażając powagę Narodów Zjednoczonych.

Zarówno Transjordania, jak i jej ambitny władca, król Abdullah znajdują się na utrzymaniu i pod całkowitą kuratelą Wielkiej Brytanii, która zapewniła sobie w Transjordanii bazy wojskowe, konieczne dla obrony kanału Sueskiego. Nie jest wykluczone, że wobec niepowodzenia koncepcji utworzenia Wielkiej Syrii na skutek oporu krajów Lewantu (Liban i Syria) pod władzą Haszemitów, Abdullah będzie dążył do utworzenia Wielkiej Jordanii, złożonej z Transjordanii i z arabskiej Palestyny. Plan taki byłby dla Wielkiej Brytanii bardzo dogodny, gdyż oddawałby jej również bazy wojskowe w Palestynie arabskiej, które tak niedawno dopiero opuściły wojska brytyjskie. I w tym wypadku Wielka Brytania zgodziłaby się zapewne na istnienie niezawisłego państwa żydowskiego.

Istnieją zatem możliwości rozwiązania problemu palestyńskiego, zależy ono jednak mniej od woli zainteresowanych narodów — co należy z przykrością stwierdzić, a więcej od gry sił w łonie zespołu wielkich mocarstw.

Roman Niziński.

Folke Bernadotte

RADA Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych zdołała ostatecznie wymusić na Arabach zawieszenie broni na przeciąg 4 tygodni. Ponieważ i Żydzi przyjęli zalecenie Rady Bezpieczeństwa, ucichły strzały w Palestynie, a w ciągu 4 tygodni mianowany przez Organizację Narodów Zjednoczonych rozjemca doprowadzi — być może — do złagodzenia konfliktu.

Rozjemcą tym jest hrabia Folke Bernadotte. Posiada tytuł tylko hrabiego, jakkolwiek należy do szwedzkiej rodziny królewskiej.

Dziwne były drogi, jakimi ta francuska rodzina dostała się na tron królewski Szwecji. Pierwszy król z tej rodziny, Karol Bernadotte, urodził się we Francji w r. 1764. Był żołnierzem napoleońskim i za wspaniałe czyny bojowe otrzymał tytuł marszałka. Ożenił się z bliską krewną Napoleona i skoligacił się w ten sposób z rodziną wszechmocnego cesarza.

Nigdy jednak nie marzył o karierze wyższej, nad swoje marszałkostwo w armii napoleońskiej. Tymczasem zupełnie niespodzianie powołany został w r. 1810 na następstwo tronu Szwecji i był w wielkim kłopocie, co uczynić z propozycją. Za radą Napoleona przyjął ją jednak i wkrótce został królem Szwecji, dając początek nowej dynastii szwedzkiej, bardzo lubianej przez cały naród.

Wszyscy inni królowie, wyznaczeni przez Napoleona potracili swe trony wraz z upadkiem Napoleona. Tylko dynastia szwedzka Bernadotte utrzymała się do dnia dzisiejszego. Do niej należy hr. Folke Bernadotte, który krąży obecnie w swym samolocie nad krajami Środkowego Wschodu, by doprowadzić do trwałego pokoju między dwoma walczącymi stronami.

W Niemczech

W PIERWSZYCH miesiącach 1945 roku, już pod koniec wojny, hr. Folke Bernadotte, latał w ten sposób między Szwecją, Francją a Niemcami. Powierzono mu misję zajęcia się ratowaniem więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, głównie norweskich i duńskich, w przeddzień upadku Niemiec.

W tym charakterze stykał się z całym szeregiem osobistości niemieckich, głównie tych, od których zależał los milionów zesłańców. Widywał się i konferował z Himmlerem, z jego okrutnym zastępcą Kaltenbrunnerem, z ministrem spraw zagranicznych Ribbentropem i in. Jego charakterystyka osób i ocena położenia Niemiec na kilka tygodni przed ostateczną klęską były niezwykle trafne.



W swych wspomnieniach z tego okresu tak pisał np.:

„Moje osobiste doświadczenia pokazały mi, że przywódcy Trzeciej Rzeszy byli ludźmi bez jakiegokolwiek kośćca moralnego i bez żadnej ludzkiej wielkości. Ostatni akt zdemaskował ich: obciążeni okropną przeszłością, starali się wzajemnie oszukać, tchórzliwi, niezdecydowani, bezradni, myślący tylko o tym, aby schować się za plecami drugiego. Końcowe sceny Trzeciej Rzeszy były pozbawione wszelkiej godności i ludzkiego tragizmu. Osoby występujące w tych scenach były małe i bezwartościowe. Nie walczyły one w imię idei, wiary, w imię przekonań, broniły tylko swego nagiego życia, splamionego potwornymi zbrodniami".

Główni aktorzy dramatu

NA wiosnę 1945 r. — pisze hr. Folke Bernadotte — był Hitler fizycznie i duchowo chorym człowiekiem, który był zupełnie niezdolnym do jakiegokolwiek bohaterskiego czynu. Powziął on decyzję pozostania w Berlinie, aby tam oczekiwać końca tylko dlatego, ponieważ wiedział, że i tak nie będzie już długo żył. Śmierć Adolfa Hitlera nie ma w sobie nic heroicznego. Opis jego bohaterskiej śmierci (legenda admirała Doenitza— przyp. Red.) jest czystym wymysłem. Umarł, jak tchórz, równie tchórzliwie, jak wszyscy jego trabanci w tych ostatnich dniach przed załamaniem się. (Doenitz twierdził, że Hitler zginął, walcząc na barykadzie w Berlinie — przyp. Red.).

Zdaniem hr. Folke Henryk Himmler był człowiekiem, który organizację terrorystyczną polityki doprowadził do nieznanego dotąd stopnia kryminalizacji i żelazną pięścią trzymał chwiejącą się Trzecią Rzeszę na skraju przepaści.

„Było wysoce ciekawym i specyficznym słyszeć — wspomina hr Folke Bernadotte — jak ten człowiek, który przy zastosowaniu najhaniebniejszych sposobów posłał na śmierć miliony ludzi, mówił o rycerskim sposobie prowadzenia wojny między Niemcami i Anglikami".

WARTO przypomnieć, że na kilka lat przed wojną dziennikarz amerykański William Shirer scharakteryzował Himmlera. jako „małego, nieśmiałego pana, który wygląda, jak niewinny nauczyciel ludowy ze wsi". Hr. Folke Bernadotte potwierdza w swych wspomnieniach to pierwsze wrażenie. Gdy zetknął się z nim po raz pierwszy, uczynił na nim wrażenie małego urzędnika. Nie znalazł w nim nic diabelskiego i nie zauważył zimnej twardości jego spojrzenia. Mimo tych pozorów człowiek ten mordował z zimną krwią miliony ludzi z całej Europy.

Wielkość Ribbentropa

MINISTER spraw zagranicznych Rzeszy, Joachim von Ribbentrop wydawał się być bardzo dumny ze swej wysokiej godności. Był przeświadczony o wielkości swojej osoby — wspomina hr. Folke Bernadotte.

Przy pierwszym widzeniu zaczął mówić, a mówił, jak Hitler. Długo, rozwlekle. Mówił przez godzinę i siedem minut, a przez ten czas hr. Folke Bernadotte nie mógł wtrącić ani jednego słowa. „Mówił tonem drżąco-sentymentalnym. to znowu krzyczał tak głośno, że głosem swym mógł zrobić zaszczyt do ostatniego miejsca wypełnionej operze Krolla" (gdzie po spaleniu przez Goeringa Reichstagu zbierał się narodowo - socjalistyczny parlament niemiecki — przyp. Red.).

Mówiąc o metodach rządów niemieckich w okupowanych krajach, Ribbentrop twierdził, że Niemcy traktowali ludność tych krajów właściwie o wiele za łagodnie.

Potem postawił hrabiemu po prostu pytanie:

— Kto jest pańskim zdaniem najbardziej humanitarną z żyjących dziś osobistości?

I nie czekając na odpowiedź. odpowiedział sam:

— Adolf Hitler.

Pod koniec takiej jednostronnej rozmowy Ribbentrop działał na rozmówcę tak, jak dobrze zniszczona płyta gramofonowa. Hr. Folke Bernadotte odniósł wrażenie, że „minister spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy jest dość ograniczonym, próżnym człowiekiem, który w dodatku często wydawał się śmiesznym".

Wszyscy ci aktorzy zginęli w różny sposób. Pozostał człowiek, który na nich z bliska patrzył, hr. Folke Bernadotte.

Następny Jubileuszowy numer (100) „Tygodnia" ukaże się z kilkudniowym opóźnieniem, ze względu na konieczność starannego przygotowania znacznie powiększonego numeru. Mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy przyniosą nam w upominku jubileuszowym zwiększenie liczby naszych przyjaciół i że apel nasz, zmierzający do powiększenia „Rodziny Tygodnia" nie pozostanie bez echa.

Ponieważ, jak się dowiadujemy, w całym szeregu miejscowości nie można nabyć „Tygodnia" w kioskach, prosimy o nadsyłanie uwag, gdzie brak naszego pisma daje się odczuwać, abyśmy mogli interweniować w kolportażu „Czytelnika" i zwiększyć jego dostawę.

Redakcja „Tygodnia".

WALKA NA SZCZYTACH

Czy górale winni są zdrady narodowej, czy popełnili przestępstwo odejścia od własnego narodu? Na pytania te dziś jeszcze nie każdy umiałby odpowiedzieć. Pamiętamy przecież bolesne zdziwienie społeczeństwa, które w czasie wojny dowiadywało się o akcji „Goralenvolku". Wrażenie to w pewnym stopniu pozostało, jak czad w umysłach. Czy było ono słuszne i sprawiedliwe?

Dobrze się stało — a czas był po temu doprawdy — że ukazała się należycie udokumentowana książka, nie tylko rozwiewająca to wrażenie i prostująca niejeden mylny pogląd, ale i przedstawiająca w świetle faktów walkę Podhala z Niemcami, jego miłość do Polski i ofiarność.

Bo uderzmy się w piersi i powiedzmy: góralom, zawsze i szczerze miłującym wolność, stała się krzywda. Podhale krwawiło w walce ciężkiej i ofiarnej, a mało kto o tym wiedział i wie. Natomiast o wyczynach szczupłej garsteczki kolaboracjonistów góralskich dowiedziała się w lot cała Polska za pośrednictwem różnych niemieckich szmatławców, celowo rozdmuchujących każdy najbłahszy nawet przejaw zdradzieckiej akcji na Podhalu. Jakież było zdziwienie Adolfa Nowaczyńskiego, który w roku 1942 przybył cichaczem z Warszawy do Zakopanego — gdy zorientował się na miejscu w rzeczywistym stanie rzeczy. Wracając do stolicy, oświadczył on dyrektorowi Muzeum Tatrzańskiego, że wyjeżdża całkowicie uspokojony, nie ma bowiem na Podhalu żadnej sprawy góralskiej", jest tylko sprawa paru degeneratów i ich nielicznych popleczników.

Ukazanie się tedy ciekawej i pożytecznej książki, wszechstronnie informującej o tym zagadnieniu — witamy gorąco, uważając ją za dług, spłacony góralszczyźnie. Książką tą jest dzieło Włodzimierza Wnuka „Walka podziemna na szczytach", poświęcona pamięci poległych i umęczonych za Polskę górali i wydana nakładem Zachodniej Agencji Prasowej przez Wydawnictwo Zachodnie (Poznań, 1948).

„Goralenvolk" — idziemy śladami przejrzystego wykładu Włodzimierza Wnuka — był koncepcją niemiecką, zdążającą poprzez sztuczne wyodrębnienie „narodowości góralskiej do stworzenia separatyzmu politycznego na Podhalu. Ktokolwiek jednak był w tragicznych latach wojny na tym terenie, ten z pewnością stwierdzi, że ogromna większość ludu góralskiego wykazała wysokie uświadomienie narodowe i zajęła wobec okupanta postawę zdecydowanie wrogą.

Górale w swej masie walczyli o sprawę polską i cierpieli dla niej tak samo, jak rodacy z innych dzielnic. Więzienia gestapowskie na Podhalu zapełniały się w równej mierze ludnością góralską, jak i napływową. Straty w ludziach i dobytku, poniesione przez górali wskutek terroru niemieckiego, były nie mniejsze, niż w innych stronach kraju. Przygniatająca większość góralszczyzny odseparowała się od „Komitetu Góralskiego", jak od zdrajców. Wieść o „hołdzie wawelskim" i innych aktach hołdowniczych prowodyrów zakopiańskich wobec okupanta — wywołała na całym Podhalu falę oburzenia i potępienia. Doszło do tego, że wielu górali wstydziło się przyznać do tego, że są góralami, wstydziło się swego stroju i gwary. Swą głęboko-patriotyczną postawę zadokumentowała ludność góralska czynnym udziałem w ruchu podziemnym.

Wyraziło się to szczególnie w masowym udziale górali w służbie kurierskiej na pograniczu tatrzańskim, w gromadnym przedzieraniu się do Armii Polskiej na obczyźnie i w ich walkach na wszystkich niemal frontach europejskich — wreszcie w góralskiej partyzantce. Wyraziło się to również w działalności licznych organizacji podziemnych na Podhalu, w sabotażu gospodarczym, uprawianym na wielką skalę, wreszcie w upartej walce o kartę rozpoznawczą polską.

Książka Wnuka nie jest gołosłowna i przedstawia odpowiednie dane, ilustrujące te twierdzenia. Zatrzymam się jedynie na sprawie kart rozpoznawczych, będących symbolem walki o polskość.

Pierwsze dni składania wniosków stały się odrazu klęską „Komitetu Góralskiego", gdyż ludność podhalańska żądała powszechnie kart polskich. W Zakopanem, siedzibie „Komitetu", tylko 7 osób zgłosiło się po kartę góralską, a w Kościelisku cztery. Tak samo było w pozostałych gminach powiatu nowotarskiego.

Wówczas przyciśnięto śrubę, ale i wtedy górale, którym odmawiano kart polskich, demonstrowali publicznie, wyklinając całą góralszczyznę. „Cóż z tego — słyszało się powszechnie — że portki na mnie góralskie, kie w portkach tych siedzi Polok".

A oto kilka cyfr. W Bukowinie Tatrzańskiej zgłosiło się po karty polskie 2.000 osób, kart góralskich wydano 54. W gm. Szaflary na 8.432 mieszkańców wydano 167 kart góralskich (w tym 56 cyganom, którzy się po nie zgłosili). W gminie Łopuszna — 2.330 kart polskich, 180 góralskich, w Czorsztynie — 2.176 polskich, 62 góralskie, w Krościenku — 2.600 polskich, 63 góralskie. Karty góralskie podjęli tu analfabeci i baptyści.

Inne części książki Wnuka opisują wkład górali w wojnę z Niemcami. Piękna to karta działalności góralskiej, całkowicie rozwiewająca krzywdzące uprzedzenia, które dotąd pokutują nie tylko w wielu umysłach, ale i na szpaltach prasy. Przecież jeden z publicystów napisał, że górale przodowali w czasie wojny w hitlerowskich mundurach partyjnych. Czyż trzeba dodawać, iż jest to całkowity wymysł? Górali, paradujących w mundurach partyjnych, nikt nie mógł widzieć, bo ani jeden góral na całym Podhalu nie był volksdeutschem! A cóż dopiero członkiem partii. Natomiast mundury SS przywdziało tylko dwóch górali, ściągniętych zresztą podstępem do wojska.

Tak wygląda prawda, demaskująca fałsze propagandy niemieckiej, fałsze, które mimo woli przedostały się i do naszych umysłów. Dlatego piękna książka Wnuka jest czynem obywatelskim, zrodzonym z potrzeby rewindykacji polskości — choć w tym wypadku wcale jej rewindykować nie trzeba. Ale trzeba poznać rzeczywisty stan rzeczy. I temu książka Wnuka służy.

DON. KICHOT.

ODMÓWIŁEM IM...

ODMÓWIŁEM im, stanowczo odmówiłem. Przecież to pozbawione jest sensu. W tych czasach, tak trudnych finansowo dla człowieka pracy. Przekonywano mnie, ale mnie nie łatwo jest przekonać. Nawet nie chciałem być przekonanym...

Tak rozpoczęła się nasza rozmowa. Kazik W. mój dobry przyjaciel, jest człowiekiem upartym. Z licznych naszych rozmów wiem, że istotnie nie łatwo jest go przekonać. Celowo nie podejmowałem rozmowy na temat, o którym on chciał mówić. Nie wiedziałem komu i co odmówił. Było to dla mnie w tej chwili obojętne. Zamierzałem powrócić do poruszonego przez niego tematu, ale później. Wiedziałem, że mój spokój i opanowanie udzielą się mojemu rozmówcy.

Daj spokój — powiedziałem. Odmówiłeś, to dobrze. Widocznie miałeś słuszność.

Tak, miałem i mam rację — przerwał mi. Wiem, że ty podzielisz mój punkt widzenia.

Nie wracaj do spraw załatwionych — odpowiedziałem.

Nasza rozmowa szybko przeniosła się na inne tematy. Szliśmy ul. Piotrkowską ku pl. Wolności rozmawiając o sprawach interesujących nas, o walczącym ludu greckim, o ostatnich wypadkach w Palestynie. Przypomnieliśmy sobie wspólnie przeżyte chwile w obozie koncentracyjnym. W toku naszych rozmów często wracamy do Stuthofu, do Neuengammen, do komanda roboczego pod Aurich, daleko pod holenderską granicą.

Pamiętasz — mówię do Kazika — jak codziennie robiliśmy pieszo blisko 25 km. w drewniakach, głodni i przemoczeni. Dzieci w miasteczku Aurich wybiegały na ulicę aby nas „powitać“ wytykając nas palcami, śmiejąc się z nas i pokazując nam języki. Nie byliśmy wówczas ludźmi, byliśmy „numerami“, jak setki tysięcy i miliony innych, odzianych w pasiaki, a jeśli w ubrania cywilne, to z krzyżami wymalowanymi olejną żółtą farbą na plecach naszych paltocików i maryna rek, na spodniach. Byliśmy ludźmi skazanymi na zagładę.

Kazik powraca często w naszych rozmowach do „tamtych“ czasów. Po wraca dlatego, aby z tym większą siłą powiedzieć **przetrwaliśmy i żyjemy. Jesteśmy** ponownie ludźmi, mamy prawo mieć swoją wolę, swoje radości, zamierzenia. Najważniejsze jednak, że jesteśmy przydatni społeczeństwu, że bierzemy aktywny udział w procesie tworzenia nowych wartości, w budownictwie nowej, naszej Polski.

Komu i co odmówiłeś — zapytałem Kazika, bo wiedziałem, że teraz mówić będziemy już spokojnie.

Jestem członkiem Powszechnej Spółdzielni Spożywców. Ostatnio na walnym zebraniu tej spółdzielni uchwalono podwyższyć udział członkowski do zł 2.500. — Zwrócono się do mnie, ażebym udział swój uzupełnił. Odmówiłem.

Właściwie to nie wiem, czy zrobiłem dobrze.

Masz wątpliwości — wtrąciłem.

No nie, ale widzisz... zawahał się. Poprostu nie mam pieniędzy i nie lubię, jeśli w takiej chwili ktoś mi mówi o płaceniu. Zresztą, jeśli nawet swój udział uzupełnię, to i tak spółdzielnia nie zbogaci się. Ale dlaczego właśnie ja, dlaczego ja mam być pierwszym i wpłacić do spółdzielni pełen udział? Po co im moje pieniądze? Czy nie mogą tak jak dotąd korzystać z kredytów? Przecież teraz nasz rząd pomaga spółdzielniom. Spółdzielnia wznowiła swoją działalność w 1945 r. i dotąd wystarczał udział członkowski w wysokości 50 zł a teraz podwyższyli i to do 2 500 zł. A co najważniejsze, ja tego nie uchwalałem i mnie nie obowiązuje. Mogli zapytać także o moje zdanie. Niech płacą ci co uchwalili.

Mówił jeszcze długo dlaczego odmówił uzupełnienia udziału w spółdzielni, a ja nie przerywałem. Wysłuchałem spokojnie argumentów Kazika.

Pozwolisz, że teraz ja powiem, co o tym sądzę.

Do Powszechnej należę jeszcze z okresu przedwojennego — rozpocząłem. Wiesz, że brałem czynny udział w jej pracach. Teraz także jestem członkiem komitetu sklepowego i uczestniczyłem w ostatnim walnym zebraniu, gdyż wybrano mnie jako pełnomocnika członków z mojego obwodu.

To ja byłem jednym z tych, którzy głosowali za podwyższeniem udziałów.

Wiem o tym, że jesteś spółdzielcą nie od dziś i dlatego zaraz na wstępie dzisiejszej rozmowy powiedziałem ci o odmowie wpłacenia udziału — wtrącił Kazik.

Nie przeszkadzaj — odpowiedziałem. Chciałbym ci powiedzieć, jak ja na to patrzę i co sądzę o twojej odmowie.

Oczywiście spółdzielnia nie upadnie, jeśli ty nie uzupełnisz swojego udziału. Jeśli wpłacisz — także nie „zbogaci“ się. Spełnisz tylko swój obowiązek wynikający z przynależności do rodziny spółdzielczej. Wiedz o tym, że członkostwo w spółdzielni pociąga za sobą także obowiązki.

Byliśmy w tej chwili właśnie na ul. Ogrodowej. Za chwilę mieliśmy przechodzić obok przedwojennej siedziby zarządu i biur Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łodzi, dziś mieszczącej jedynie dział inspekcji sklepów, dział transportu, referat i skład opałowy, magazyn spożywczy i magazyn włókienniczy Nr 1 oraz wytwórnię wód gazowych. Spółdzielnia rozrosła się znacznie i przedwojenna siedziba okazała się zbyt szczupła. Postanowiłem wykorzystać to jako jeden z argumentów.

Zatrzymajmy się tu na chwilę — powiedziałem. Jak wiesz posesja ta należy do Powszechnej. Przekroczyliśmy bramę i oczom naszym ukazały się zwały węgla. Wyszliśmy na ulicę i następnie — za zgodą uprzejmego portiera — zatrzymaliśmy się na obszernym podwórzu.

Popatrz — mówię do Kazika. Ta posesja stanowić może dumę Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łodzi. Nie z racji swoich rozmiarów, ale tu było przed wojną ognisko pracy spółdzielczej. Początkowo stał tu jeden mały budynek biurowy, jakaś stara rudera mieszcząca magazyn oraz szopy, w których pracowały zakłady gospodarcze spółdzielni jak kuźnia, stolarnia. Ileż wysiłku i samozaparcia potrzeba było, abyśmy mogli teraz cieszyć swój wzrok. Spójrz np. na ten gmach. Tu mieści się magazyn spożywczy i wytwórnia wód gazowych. Gmach ten został wykończony tuż przed wybuchem wojny.

Nie łatwo było w ustroju kapitalistycznym budować spółdzielczość. Obojętność czynników rządowych, wrogość wszystkich fabrykantów łódzkich towarzyszyły tej pracy. Ale robotnik łódzki jest twardy. Z uporem rozbudowywał swoją spółdzielnię. To co tu widzisz powstało przed wojną wyłącznie własnym wysiłkiem robotnika łódzkiego w oparciu o własne środki finansowe.

Opuszczając posesję przy ul. Ogrodowej 72-74 mówiłem do Kazika — dziś spółdzielnia nasza może poszczycić się znacznie większymi osiągnięciami. Gdybyśmy tak mogli w tej chwili zapoznać się z całym dorobkiem Powszechnej zobaczyłbyś, że i ty, jako jej członek, miałbyś prawo do dumy.

Dziś jest inny klimat dla pracy spółdzielczości, klimat sprzyjający. To co poprzednio narastało całymi latami, obecnie możliwe jest do osiągnięcia w stosukowo krótszym czasie. Ale popełnilibyśmy błąd, gdybyśmy chcieli ciągle oczekiwać na pomoc finansową, a zapominali, że własnym wysiłkiem, własnym trudem, można w tej dziedzinie zrobić dużo.

Nasz rząd, parlament, a tu w Łodzi — wojewoda i Zarząd Miejski z prezydentem miasta na czele — to nasi przyjaciele. Możemy zawsze liczyć na ich przychylność. Ale nie oznacza to, że robotnik łódzki nie chce dołączyć do tego budownictwa spółdzielczości także i własnego wysiłku. Tylko wysiłek ten, w obecnym sprzyjającym klimacie dla spółdzielczości, w obecnym ustroju gospodarczym i politycznym daje większe i szybsze wyniki.

Jednomyślna uchwała ostatniego walnego zgromadzenia pełnomocników naszej spółdzielni w sprawie podwyższenia wysokości udziałów, jest świadomym aktem łódzkiego świata pracy dopomożenia spółdzielni w zgromadzeniu większych własnych funduszów i ułatwienia dalszego jej rozwoju.

Wiedz o tym, że podobny wysiłek podjęto także we wszystkich ośrodkach robotniczych naszego kraju.

Nie obawiaj się mój drogi, że ty będziesz pierwszym, który uzupełni swój udział. Ja już to uczyniłem, bo chociaż należę jeszcze z przed wojny, to poprzednio wpłaciłem tylko 20 zł i teraz — zgodnie z uchwałą uzupełniłem swój udział.

Mówisz, że nie masz pieniędzy. I ja ich nie mam więcej od ciebie. Zresztą nie chodzi wcale o to, ażeby całość od razu wpłacić gotówką. Jeśli dokonywujesz zakupów w sklepach spółdzielni, zostaną ci dopisane zwroty, w wysokości 6 proc. za rok 1947. Resztę — w moim przekonaniu — powinieneś wpłacić gotówką. Na brak pieniędzy narzekasz zawsze wtedy, kiedy chodzi o wydatek mający duże znaczenie społeczne.

Spółdzielnia korzysta z kredytów bankowych i nadal będzie z nich korzystała. Nie sądź, że już jutro spółdzielnia oprze się tylko na własnych funduszach. Ale obowiązkiem naszym członków, naszą ambicją powinno być ułatwienie spółdzielni posiadania jak największych własnych środków obrotowych. Przecież wiesz o tym, że od zaciągniętych kredytów trzeba płacić procenty. Mając mniejsze zobowiązania, płacąc mniej procentów, spółdzielnia na drodze samofinansowania rozbudowywać będzie mogła swoją gospodarkę.

Ty nie uchwaliłeś podwyższenia udziałów. Ale w twoim imieniu uchwalili to pełnomocnicy obecni na zebraniu w hali sportowej w Helenowie, bo tam odbywało się doroczne, pierwsze po wojnie walne zgromadzenie.

Zapewne nie byłeś na zebraniu członków swojego obwodu — zapytałem Kazika wprost.

Nie, istotnie nie byłem — odpowiedział nieśmiało.

Widzisz, trzeba chodzić na zebrania członków, brać udział w wyborach pełnomocników — może i ciebie wybiorą — a wówczas nie będę musiał uświadamiać ciebie. Ty będziesz uświadamiał innych.

Skończmy już rozmowę na ten temat. Za chwilę rozejdziemy się — mówię do Kazika. Chciałbym ci jeszcze jedną rzecz powiedzieć: dlaczego mówisz „odmówiłem im“? Kto są ci „oni“. To przecież i ty i ja i my wszyscy członkowie spółdzielni, a jest nas około 140.000 w Łodzi. Nasze udziały nie są potrzebne tylko zarządowi spółdzielni, bo zarząd jest wykonawcą naszych uchwał. Udziały są potrzebne spółdzielni, a spółdzielnia to jesteśmy my wszyscy. Nie „im“ ale nam — a więc i sobie odmówiłeś; utrudniasz w ten sposób pracę spółdzielni, opóźniasz jej rozwój.

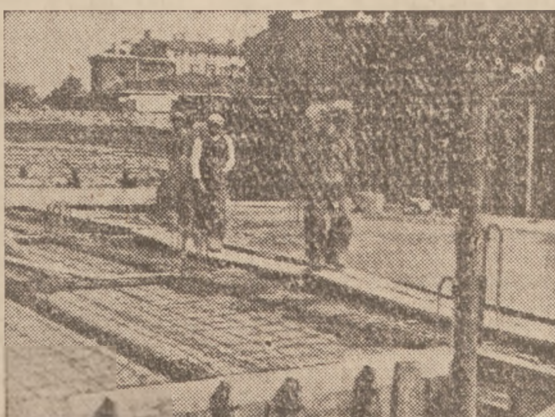
Odprowadziłem Kazika pod sam dom. Przed pożegnaniem przeszliśmy na inny temat. Ale rozmowa nie kleiła się. Kazik — byłem tego pewien czuł się zawstydzony. Przecież tyle razy w rozmowach naszych zapalał się, wiedziałem, że pragnie szczerze — podobnie jak ja — rozwoju uspołecznionych form gospodarki. A dziś, dlatego tylko, że chodziło o zadokumentowanie swojego pozytywnego stosunku konkretnym, chociaż nie wielkim wkładem — bo wiem, że czyni zakupy w spółdzielni i dopłata gotówka będzie mała — odmówił.

Żegnając się z Kazikiem, po dalszej rozmowie na jakiś „obojętny“ już temat, usłyszałem jak powiedział do mnie przyciszonym głosem:

Przekonałeś mnie. Naprawię swój błąd już jutro.

M. N.





Fragment budowy magazynów Powsz. Spółdz. Spożywców w Łodzi w 1938 r.

AKTUALNA BROSZURA

„PALESTYNA W OGNIU“

Dwie wydane broszury z cyklu „Reflektorem po świecie“ orientują nas całkowicie o charakterze wydawnictwa.

Pierwsza z nich zatytułowana „Kto będzie prezydentem U.S.A.?“ dała rzeczowe i wyczerpujące informacje o systemie wyboru głowy państwa w Stanach Zjednoczonych i wszystkich tendencjach społecznych i politycznych, występujących w obecnej walce wyborczej.

Szczególną uwagę ściągnął na siebie drugi zeszyt „Reflektora“, który ukazał się w dniach ostatnich, a którego tytuł brzmi: „Palestyna w ogniu“.

Z broszury tej czytelnik dowie się o kulisach imperialistycznej gry o Bliski i Środkowy Wschód, o naftę, a także poinformuje się o całym przebiegu t.zw. „kwestii palestyńskiej“, poczynając od deklaracji Balfoura, aż po dzień dzisiejszy, zakończony proklamowaniem Państwa Izraela i wybuchem wojny żydowsko - arabskiej.

W ten sposób, broszury „Reflektorem po świecie“ dobrze spełniają swe zadania pogłębiania wiadomości i wiedzy o świecie przeciętnego czytelnika prasy codziennej, w sposób przystępny wprowadzając go w gąszcz najbardziej skomplikowanych zagadnień. Do popularności wydawnictwa przyczyni się niewątpliwie jego przystępna cena, wynosząca 15 zł. za zeszyt, jak i to, że można je nabyć wszędzie, zarówno we wszystkich księgarniach, jak i w kioskach gazetowych.

MIGAWKI Z BUŁGARII

Winogrona to jedno z bogactw przepięknego kraju bułgarskiego. — Przed wojną Bułgaria eksportowała zagranicę bardzo znaczne ilości winogron i wina gronowego. Winogrona bułgarskie o wielkich soczystych i słodkich owocach znane były i pożądane w całej Europie. Rabunkowa gospodarka niemiecka w okresie wojny i na tym odcinku spowodowała znaczne straty. Spadek wydajności winnic w stosunku do okresu przedwojennego był bardzo duży i trzeba naprawdę wielkiego wysiłku dla wydźwignięcia produkcji na dawny poziom. Bułgarzy nie szczędzą trudów i pracy przy doprowadzaniu winnic i wytwórni wina do normalnego stanu, zapewniającego stały rozwój tej tak ważnej gałęzi gospodarczej.

Wysiłki te są o tyle ułatwione, że większa część produkcji winogron i wina została uspółdzielczona. Posiadacze winnic łącząc się bądź w odrębnej spółdzielni winiarskiej, bądź też w spółdzielni uniwersalnej — tworzą dział winiarski. Spółdzielnie zajmują się całą handlową i przemysłową stroną zagadnienia winiarskiego. Posiadają one przeważnie własne piwnice, umożliwiające przerób winogron na wina, a często i urządzenia chłodnicze, które umożliwiają przechowywanie winogron przez długie miesiące w stanie pełnej świeżości.

W czasie pobytu w Bułgarii polskiej delegacji spółdzielczej mieliśmy możność oglądania na miejscu zasad gospodarki na tym odcinku. W szerokiej dolinie Maricy u podnóża wysokich gór ciągną się w nieskończoność starannie pielęgnowane winnice. Równo palikowane i starannie obcinane winorośle, obwieszone są wielkimi oliwkowo - zielonymi gronami. Zbiór winogron odbywa się w miesiącu sierpniu — wrześniu. Grona zbierane są do wielkich koszów i przewożone do magazynów spółdzielni. Tam w zależności od przeznaczenia, bądź układane w standartowych drewnianych skrzynkach i wysyłane do sprzedaży w kraju i zagranicą, bądź w przewiewnych drewnianych klatkach przechowywane w chłodniach, bądź wreszcie zbierane w wielkich koszach, jeśli mają być przerobione na wino.

W Peruszticy na południowy wschód od Sofii znajduje się dobrze rozwinięta spółdzielnia uniwersalna. Posiada ona aż pięć działów pracy.

spożywczy, prowadzący 14 sklepów zaopatrzenia członków w artykuły konsumcyjne,
kredytowy, zbierający oszczędności od 1200 członków i ich rodzin i przychodzący im z pomocą w razie potrzeby,
transportowy, rozporządzający 7 autami ciężarowymi, produkcji — prowadzący piekarnię i wytwórnię wód gazowych.

Największym jednak i najbardziej rozbudowanym jest w Peruszticy dział winiarski. Dział ten zrzesza 250 członków posiadaczy winnic, prowadzi własną nowoczesną chłodnię i wytwórnię win. Ta ostatnia przerabia rocznie 3 miliony litrów wina, a po przeprowadzeniu będących w toku prac przerobi 5 milionów litrów. Gdy oglądamy urządzenia i zabudowania działu winiarskiego spółdzielni w Peruszticy, to rzuca nam się w oczy wszędzie wzorowy porządek i stosowanie nowoczesnych urządzeń pracy.

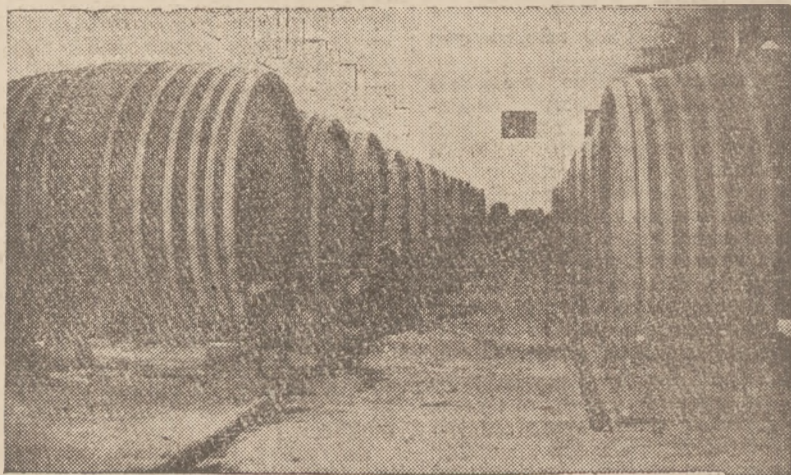
W Bułgarii istnieje pięćdziesiąt kilka bądź samodzielnych spółdzielni winiarskich, bądź (co się częściej zdaża), działów winiarskich spółdziel ni uniwersalnych. W roku 1947 w organizacjach spółdzielczych w Bułgarii skupiało się 76 proc. produkcji surówki winogronowej i 28 proc. produkcji wina w kraju.

Ulepszając stale metody pracy i planowo kierując gospodarką na tym odcinku, spółdzielczość bułgarska oddaje dobre usługi swemu ludowi i państwu.

M. Marski.



Bułgarskie wieśniaczki zbierają winogrona do wielkich koszy, a następnie przewożą je do magazynów spółdzielni



Spółdzielcza wytwórnia win w Peruszticy przerabia rocznie 3 miliony litrów wina

List do Redakcji

W 18-tym numerze „Tygodnia" (str. 6) pt. „Życie Tykocina słabiutkim bije pulsem" znajdujemy dość ciekawy i artystycznie ujęty opis Tykocina i życia jego mieszkańców. Autor — Jerzy Glaus. Mimo, że opis nagół jest zgodny z rzeczywistością, to jednak w pewnym miejscu nie zgadza się z prawdą. Autor między innymi pisze, że... zabawy w Tykocinie „zazwyczaj kończą się krwawymi bijatykami i zastrzykami przeciwtężcowymi" gdyż „młodzież męska na zabawy pospiesza z niezgorszym kozikiem, lub co przezorniejsi — z bagnetem"!

Panie Jerzy Glaus — czy naprawdę my młodzież tykocińska to nożownicy?... (Bo czyż inne wyobrażenie może mieć o nas każdy czytelnik „Tygodnia" po przeczytaniu Pańskiego felietonu?...).

Sądzę, że dla wyjątków nie powinno się potępiać wszystkich. Zresztą najlepszym dowodem jak bardzo krzywdząca jest Pana opinia o nas, niech będzie fakt, że w tym roku w Tykocinie odbyło się (łącznie z zabawą sylwestrową) ponad dziesięć zabaw — i wszystkie miały przebieg spokojny.

Tykociniak

Z przyjemnością zamieszczamy powyższy list naszego Czytelnika, gdyż tylko w ten sposób my i nasi Czytelnicy mogą wyrobić sobie pogląd na życie w małych miasteczkach. Nie należy winić autora reportażu, który opisuje swe wrażenia na podstawie krótkotrwałych obserwacji danego środowiska lub informacji pewnych osób, które nie zawsze mogą być ścisłe

35 LAT PRACY DAŁO PIĘKNE WYNIKI

W dniu 13 czerwca br. Lubelska Spółdzielnia Spożywców obchodzić będzie 35-letni jubileusz swego istnienia. Jubileusz ten będzie jednocześnie świętem klasy robotniczej m. Lublina, albowiem LSS powstała i wyrosła z tej klasy i dla jej dobra pracowała.

Narodziny LSS nastąpiły na początku bieżącego stulecia, w okresie carskiej niewoli. Wczesną jesienią 1912 roku w sali „Harmonia" jedna z późniejszych założycieli LSS Wanda Papiewska wygłosiła pierwszy w Lublinie publiczny odczyt pt. „Co to jest stowarzyszenie spożywcze, jego cel i znaczenie". Wokół osoby autorki odczytu zgromadziło się grono radykalnych inteligentów, którzy opracowali statut, „Lubelskiego Stowarzyszenia Spożywczego".

Właściwymi organizatorami LSS byli: Paweł Jankowski, Jan Maczka, Roman Ptaszyński i Wanda Papiewska. Patronem ożywiającym te pierwsze poczynania organizatorów był Jan Hempel, publicysta, literat i działacz społeczny, który skupiał wokół siebie młodzież robotniczą i miał na nią duży wpływ w kierunku wyrobienia samodzielności myślenia i pogłębienia radykalizmu społecznego.

W dniu 15 marca 1913 r. otwarto pierwszy sklep LSS przy zbiegu ulic: Foksalnej (dzisiejsza 1 Maja) i Bychawskiej. Liczba członków już w pierwszym roku działalności wzrosła do 156 osób.

W dwa lata później otwarto drugi sklep przy ul. Królewskiej 2. W tym to sklepie pierwsze kroki w pracy spółdzielczej stawiał młody podówczas Bolesław Bierut, obecny Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. W październiku 1915 r. Walne Zebranie członków LSS powołało do życia Komisję Agitacyjną, która wkrótce przemianowała się na Wydział Społeczno-Wychowawczy. Tu podkreślić należy fakt na owe czasy znamienny, że LSS pierwsza podjęła prace społeczno-wychowawcze, które z mniejszym lub większym nasileniem prowadzone były przez całe 35 lat jej istnienia.

Na wyniki prac Wydziału Społeczno-Wychowawczego nie długo trzeba było czekać, bo oto już 15 września 1916 r. otwarto bibliotekę LSS, a 1 grudnia tegoż roku wydano pierwszy numer „Spółdzielcy Lubelskiego" — biuletynu LSS, który systematycznie wychodzi do dnia dzisiejszego.

Życie LSS toczyło się dalej ze zmiennymi kolejami. Rozwój jej zaznaczał się to silniej to słabiej — w zależności od ogólnych warunków gospodarczych kraju. Zawsze jednak LSS była bliska klasie robotniczej, jej przede wszystkim służyła i była wiernym odbiciem dążeń i nurtów przenikających świat pracy. Wyrazem tego jest fakt, że już w 1918 r. LSS ściśle związała swoją działalność ze wskazaniami Związków Zawodowych i partii robotniczych, stając wyraźnie po stronie klasowości ruchu spółdzielczego.

W 1918 r. po odzyskaniu niepodległości, na Zjeździe Spółdzielczym w Warszawie w dniu 1 listopada, delegacja LSS wraz z przedstawicielami m. Łodzi stanowi jądro świadomości kooperacji polskiej, wypowiada się jasno i stanowczo w kwestii wyboru drogi dalszego rozwoju spółdzielni w Polsce.

Następne lata, od 1923 r. możnaby nazwać okresem stagnacji. Prześladowanie przez ówczesne władze państwowe ruchu robotniczego mocno odczuła LSS. Rewizje, aresztowania członków Zarządu i Rady, zamykanie obiektów spowodowało znaczne obniżenie poziomu wysiłków Wydziału Społeczno - Wychowawczego Spółdzielni i wstrzymanie jej rozwoju go spodarczego.

Sześć lat okupacji niemieckiej wytworzyło w LSS warunki osobliwe. Nie było w tym czasie zebrań walnych, wyborów Rady Nadzorczej i pracy oświatowo - wychowawczej. Rada Nadzorcza musiała się zbierać potajemnie. Biblioteka była nieczynna. Okupant ją opieczętował.

Rok 1944, rok zwycięstwa nad hitlerzymem zastał LSS przy 18 sklepach i 1 piekarni. Sklepy i magazyny były rozgrabione, piekarnia i biuro spalone. Mimo to w LSS zawrzała porządkowa praca, której osiągnięcia są naprawdę imponujące. LSS zrzesza w tej chwili około 10.000 członków i prowadzi: piekarnię mechaniczną, wytwórnię wód gazowych, rozlewnię octu, „Gospodę Spółdzielczą", 55 sklepów i „Spółdzielczy Dom Towarowy" o 7 branżowych działach. W najbliższej przyszłości Spółdzielnia Spożywców „Samopomoc" w Lublinie przyłączy się do LSS. Liczba członków wzrośnie wtedy do 12.000, a ilość sklepów — do 62. O rozwoju LSS najlepiej świadczą jej obroty, które w pierwszym kwartale rb. dały kwotę 330 milionów złotych.

W 1947 r. LSS nabyła plac przy zbiegu ulic: Buczka i Miedzianej. Na placu tym w r. ub. wybudowano garaże, w rb. wzniesione zostaną magazyny. W dalszej perspektywie projektowana jest budowa domu na biura.

Wydział Społeczno - Wychowawczy LSS w 1946 r. po okresie okupacji wznowił swoją działalność. Rozgrabioną przez okupantów Bibliotekę częściowo uratowano i uruchomiono.

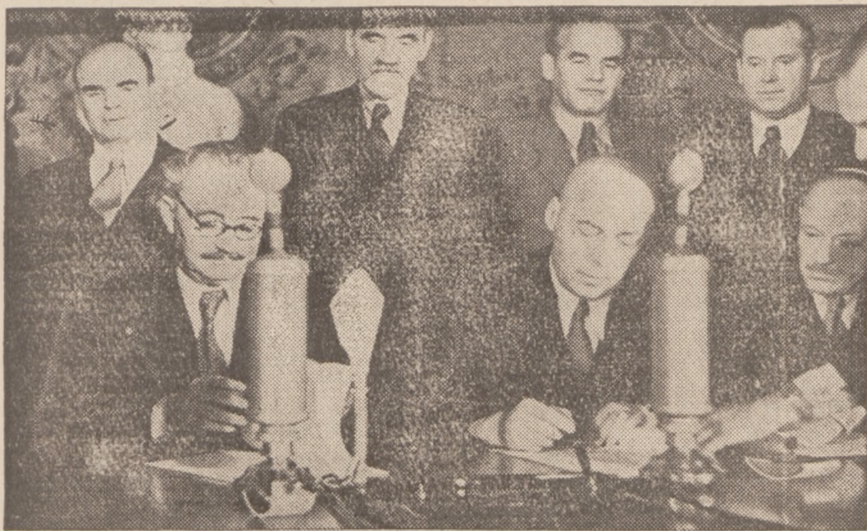
Do zadań wydziału należy: troska o rozwój samorządu spółdzielczego, dokształcenie fachowe personelu, prowadzenie działu członkowskiego, prowadzenie biblioteki i czytelni pism oraz wydawanie „Spółdzielcy Lubelskiego". Ponadto pod opieką Wydziału pozostaje artystyczny zespół świetlicowy i amatorski Teatrzyk Kukiełkowy. Teatrzyk ten wystawił już trzy widowiska. „Od Beskidów do Bałtyku" Andy Kitschman, „O Kasi, co gąski zgubiła", „O strasznym smoku i dzielnym szewczyku" Marii Kownackiej, dając łącznie 18-cie przedstawień, które zgromadziły około 4.000 dzieci.

Z inicjatywy Wydziału w roku 1947 zorganizowano kolonie letnie dla dzieci członków. W roku bieżącym i w latach następnych kolonie te również będą organizowane. Co rok urządzana jest choinka dla dzieci z przedstawieniem i wręczaniem upominków.

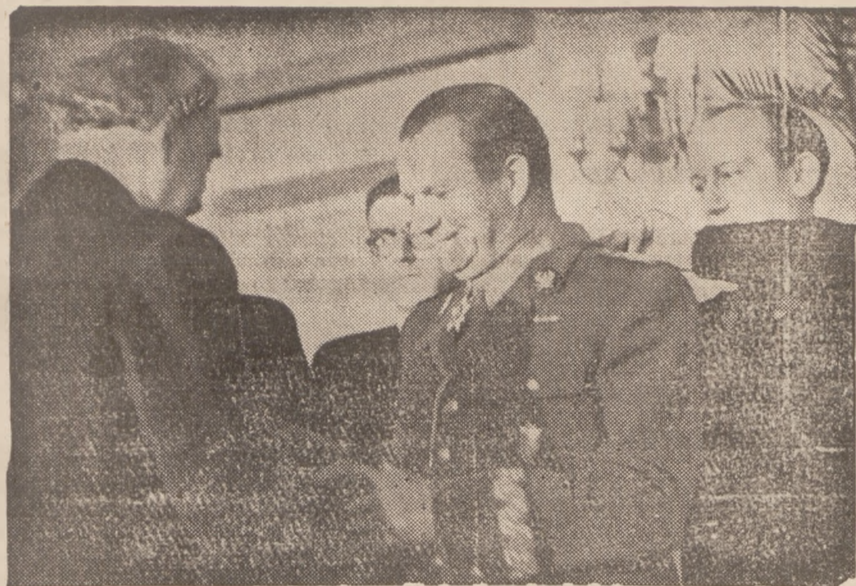
Z racji jubileuszu LSS w niedzielę 13 czerwca rb. w Teatrze Miejskim w Lublinie odbędzie się uroczysta Akademia, na której przemawiać będą: wicemarszałek Sejmu ob. Szwalbe, poseł Dąbek i inni. Ob. Wanda Papiewska zapozna zebranych z historią LSS, poczym najstarszym członkom i pracownikom LSS wręczone będą złote i srebrne odznaki jubileuszowe. Na część artystyczną akademii złożą się deklamacje, gra na fortepianie i występy chóru „Echo"

Film TYGODNIA

Podpisanie umowy polsko-bułgarskiej

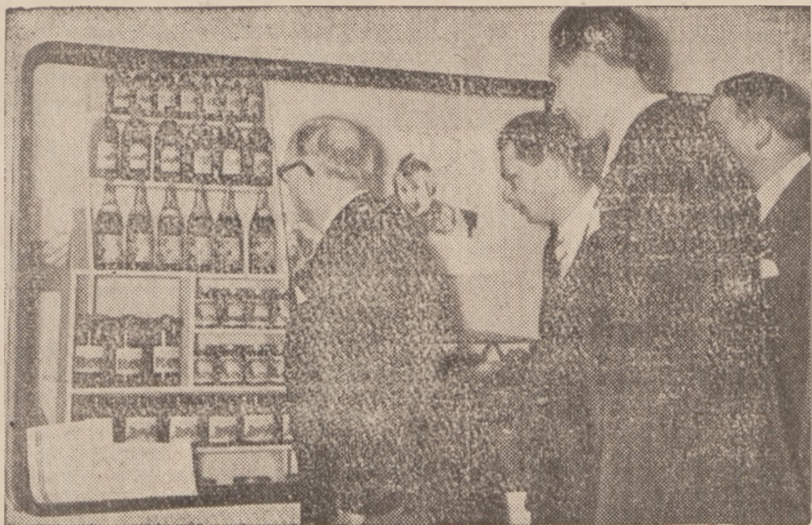


Dnia 28 maja br. została podpisana w Belwederze w obecności Prezydenta R.P. Bolesława Bieruta umowa o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy między Polską a Bułgarią. Na zdjęciu: Premier Dymitrow i Premier Cyrankiewicz w chwili podpisania umowy.



Premier Dymitrow dekoruje Marszałka Żymierskiego bułgarskim Orderem „9 września"

PREZYDENT AURIOL podziwia produkcję polską



Prezydent Republiki Francuskiej, M. Vincent Auriol (w okularach) zainteresował się piernikami i sokami wystawianymi przez „Społem" na Targach Paryskich w maju 1948 r. Obok Prezydenta Auriol'a stoją: dr Maksymowicz, Ogrodziński i Wołowski z Ambasady Polskiej w Paryżu

KRONIKA KULTURALNA

Dwutygodnik literacki „Warszawa" poświęca w całości swój Nr 4 (25) z dnia 15 maja br. omówieniu filmu polskiego „Ostatni Etap". Jest to niejako ankieta przeprowadzona z wybitniejszymi pisarzami polskimi na temat tego filmu. Wypowiedzi swoje zamieścili: Jan Nepomucen Miller, Stanisław Struph - Wojtkiewicz, Jalu Kurek, Hanna Tomaszewska, Jerzy Zawieyski, Stanisław Helsztyński, Aleksander Rafałowski, Kazimierz Wroczyński, Zuzanna Rabska, Jerzy Kierst, Karol Pędowski, Leon Kaltenbergh, Stanisław Grzelecki, Józef Słotwiński, Andrzej Kobyłecki, Kazimierz Truchanowski, i Gabriel Karski.

Naogół opinie pisarzy brzmią pochlebnie o poziomie artystycznym, o wysiłku kompozycyjnym i grze ekipy filmowej „uformowanej wcale nie z gwiazd ani komet aktorskich, lecz z nowych zupełnie sił". Co do treści scenariusza, to zastrzeżenia pokrywają się z naszymi podanymi przy omawianiu tego filmu w jednym z poprzednich numerów „Tygodnia".

P. Łatka-Wyszomirski pragnąc nam dokuczyć rozsyła listy do różnych redakcji w których informuje, że nie jest już współpracownikiem naszego pisma, a czyni to podobno dlatego, że otrzymuje jakoby wiele listów z zapytaniami w tej sprawie. Rozstanie się p. Wyszomirski z „Tygodniem" omówiliśmy w Nr 21. Jak dotąd na przestrzeni trzech miesięcy otrzymaliśmy zaledwie jedno zapytanie o powody przerwania pracy w „Tygodniu" przez p. Wyszomirskiego, pozostali Czytelnicy wcale się tym nie interesowali. Na inne oskarżenia p. Wyszomirskiego nie będziemy odpowiadali, bo mamy nadzieję, że sprawa to zostanie wkrótce wyjaśnione na innej drodze.

„Dom pod Oświęcimiem" Tad. Hołuja wywołał wiele ciekawych wypowiedzi. Naszą wypowiedź już Czytelnicy znają z poprzednich numerów. W Nr 20 (48) „Odrodzenia" p. Jerzy Borejsza w artykule „Krochmlizm czy relizm" pisze o „mętniackich poglądach publicysty Hołuja", twierdząc że komentarz autora zepsuł dodatnie wrażenie jakie wyniósł ze sztuki. W „Szpilkach" Jan Szeląg pisze: „Sztuce Hołuja chciano nadać szeroki rozgłos ze względu na jej wartości. Okazało się, że rozgłos był większy od wartości sztuki. Wówczas... wpadło się w drugą ostateczność. Doszło do tego, że na literackiej dyskusji w Warszawie zaproponowano wniosek, żądający zdjęcia Hołuja z afisza. „Przyczym p. Szeląg dochodzi do wniosku, że popełnio no wielki błąd gdy „zdolnego kandydata do zawodu dramatopisarza postawiono na afiszu między Szekspirem i Corneillem". „Trzeba było wziąść mniejszą salę, mniejszy rozmach, niech się Hołuj uczy jak wystawiać". Zupełnie zgadzamy się z tym poglądem. Gorliwa obrona sztuki Hołuja w „Dziś i Jutro" przez p. Markowskie go nie zdołała nas przekonać. Nie występowaliśmy przeciwko Hołujowi, lecz przeciwko treści sztuki, która naszym zdaniem i zdaniem wielu (dano temu wyraz na zebraniach dyskusyjnych zarówno literatów jak i świata pracy) wywołować może przekonanie, że społeczeństwo polskie w czasie okupacji przedstawiało jedno wielkie bagno moralne. Wolno rzecz prosta p. Markowskiemu mieć swoje zdanie, my pozostajemy przy swoim.

Liga Morska urządza tradycyjnym zwyczajem w dniach od 23 — 29 czerwca „Święto morza", którego kulminacyjnym punktem będą uroczystości w Szczecinie w dniu 29 czerwca. W roku bieżącym uroczystości te będą miały charakter szczególnie manifestacyjny, dla podkreślenia jednolitej postawy Narodu odnośnie naszych granic zachodnich i portu Szczecińskiego, jako portu całej słowiańszczyzny.

Rozwiązanie zagadki ze strony 1-szej

Zamieszczone na stronie 1 zdjęcie konkursowe dziecka Nr 647 dotyczy chłopczyka Zbyszka Drzewickiego z Cieplic-Zdroju, który słusznie może być nazwany „Amorkiem Cieplickim". Początkowo mieliśmy sami wątpliwości, czy to chłopiec czy dziewczynka, ale inne jego zdjęcia nadesłane wykazują bezwątpienia, że istotnie mamy do czynienia z tzw. „płcią męską".

PONAD 3000 DZIECI
W NASZYM KONKURSIE
NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

Zgórą 3.000 zdjęć dzieci zgłoszonych zostało do naszego konkursu, z których zaledwie około 200 fotografii, jako absolutnie nie nadających się do reprodukcji zwrócimy adresatom w najbliższym czasie. Pozostałe zdjęcia odpowiadające reprodukcyjnym wymaganiom drukarskim, zamieszczać będziemy kolejno co tydzień w numerze „Tygodnia". Głosowanie czytelników odbędzie się po ukończeniu druku zakwalifikowanych fotografii konkursowych ,a więc jesienią br. Poczynając od numeru 16 (92) tj. od dnia 1 maja br. zamieszczamy we wszystkich numerach „Tygodnia" kupony plebiscytowe ,które należy wycinać i zbierać, by później w okresie głosowania przesłać je wszystkie razem w jednej przesyłce do naszej redakcji.

Ponieważ Czytelnicy interesują się, czy ich „pociechy" znajdą się na łamach „Tygodnia" — podajemy na str. 14 piątą listę zdjęć zakwalifikowanych do druku. Dalsze wykazy zdjęć przyjętych — w numerach następnych.

Dziś wycinamy kupon Nr. 7.

KUPON PLEBISCYTOWY Nr 7 w KONKURSIE »NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA«

Najmilszym dzieckiem w konkursie jest moim zdaniem:

Nr ....

(tu wpisać konkursowy numer fotografii i podpis pod nią drukowany)

którego zdjęcie było reprodukowane

w Nr .... „TYGODNIA"

Wyciąć i zachować! Kupony z pewnych numerów „Tygodnia" będą w plebiscycie uprzywilejowane, wobec czego korzystne dla głosujących będzie zebranie pełnego ich kompletu.

EUSTACHY CZEKALSKI

Znałem Sienkiewicza

Pamiętnik Stefana Krzywoszewskiego pt. „Długie życie" jest obecnie bardzo poczytny. Wypożyczalnie mają co niemiara zamówień. Trzeba długo czekać w kolejce nim się tę książkę otrzyma. „Długim życiem" interesuje się pokolenie w sile wieku ,pamiętające życie warszawskie z tych czasów, co to jeszcze liczyło się na ruble. Ale i pokolenie nowe, dla którego Warszawa zaczęła się objawiać w latach przed katastrofą wrześniową, garnie się do tych wspomnień. Książka napisana jest przecież barwnie, naszpikowana anegdotami, czyta się, jak lekki, francuski felieton. Zdarzyło się, że polonista – nauczyciel wskazał uczniom swoim maturzystom „Długie życie" Stefana Krzywoszewskiego, niby źródło do zapoznania się z twórcą „Trylogii", jako człowiekiem.

Krzywoszewski był w przyjaźni z Sienkiewiczem. Zbliżyły ich wspólne polowania. W „Długim życiu" znalazły się więc i stronice, poświęcone autorowi „Bartka zwycięzcy". O Sienkiewiczu napisano już całą bibliotekę w kilkudziesięciu a nawet kilkuset językach świata. I czego nie napisano? Starsze pokolenie pamięta numer warszawskiego „Głosu" z artykułem Stanisława Brzozowskiego, godzącym we wszystkie walory pisarskie laureata nagrody im. Nobla. Wrażenie było olbrzymie. Oburzenie w pewnych kołach niezwykłe! Brzozowski powtórzył później we współczesnej powieści polskiej to oskarżenie .Pisał on o Sienkiewiczu:

„Jest on klasykiem polskiej ciemnoty, szlacheckiego nieuctwa".

„Pogoda, płynąca z nierozumu, niepamięci niedostrzegania ,jest hańbą dla istoty myślącej. Popularność Sienkiewicza pośród warstw ludowych to zaraza szlacheckiego lenistwa duchowego zaszczepiona mu".

„Z życia mieszczańskiego zrozumiał Sienkiewicz tylko wyzysk. Twórczej, kulturalnej pracy tej warstwy nie dostrzegł wcale".

Nie będziemy przeciwstawiać sądom Brzozowskiego głosów Konopnickiej, Żeromskiego, Witkiewicza. Przypominamy tylko fakty, które nie powinny być zapomniane. I to tym bardziej, że dnia 2 maja br. upłynęło sześćdziesiąt pięć lat od chwili ukazania się w warszawskim „Słowie" pierwszego odcinka „Trylogii". Czym stał się ten utwór dla naszego narodu też nie będziemy dowodzić! Niech tym się martwią młodzi maturzyści ,którym polonista-nauczyciel wskazał wspomnienia Stefana Krzywoszewskiego, jako źródło do zapoznania się od strony prywatnej z autorem tego arcydzieła beletrystyki.

Młodzież o Sienkiewiczu wie niewiele, choć mamy dużo książek o tym pisarzu, budzącym podziw. Nie wie też nic o Stefanie Krzywoszewskim, choć przez lat pięćdziesiąt był bardzo popularną postacią przedwrześniowej Warszawy. Warto więc zaznaczyć, iż Krzywoszewski należał do ulubieńców publiczności warszawskiej, bywającej w teatrach. Napisał kilkadziesiąt komedii. Był dyrektorem teatrów miejskich. Przez lat czterdzieści redagował bardzo poczytny, żywy, ilustrowany tygodnik pt. „Świat".

Muszę wszystko to powiedzieć, gdyż inaczej nikt nie zrozumie czemu do mnie przyszedł siostrzeniec z pytaniami o Sienkiewicza i Krzywoszewskiego. Chłopiec to na schwał! Jest bramkarzem. Zna na pamięć wszystkie rodzaje karabinów maszynowych. Dotychczas jednak o Sienkiewiczu wiedział coś nie coś, a tu chodzi o materiał do wypracowania licealnego. Że ja przez lat blisko trzydzieści współpracowałem z Krzywoszewskim i znałem osobiście Sienkiewicza, o czym wiedział od swoich rodziców, więc przyszedł do mnie po potrzebne informacje.

Cóż mogłem mu powiedzieć? Trzeba było sięgnąć do wspomnień.

W roku 1913 zaprojektowałem ankietę na temat „Psychologii twórczości". Psychologia wtedy była w modzie! Jako słuchacz Wundta, Meumanna, Lippsa wiele sobie obiecywałem z moich seminaryjnych doświadczeń. Przypuszczałem, że precyzyjnie sformułowane pytania dadzą wspaniały materiał naukowo - literacki, przesądzający raz na zawsze zagadnienie psychologii twórczości. Krzywoszewski projekt mój przyjął ciepło. Koledzy redakcyjni ze „Świata" zachęcili mnie też do podjęcia tej roboty.

Ankietę rozesłałem do wszystkich, żyjących wtedy beletrystyków, dramaturgów ,poetów .Niebawem zaczęły napływać materiały. Nie przysłał odpowiedzi Sienkiewicz. „Świat" chciał jednak rozpocząć publikacje od czołowego pisarza tych czasów. Nie było rady, trzeba iść z wizytą do autora „Quo vadis" i przypomnieć naszą ankietę.

Sienkiewicz zachodził niekiedy do redakcji „Świata". Znałem go więc z tych odwiedzin .Telefonicznie nie wypadało rzeczy tej załatwić. Tak przynajmniej orzekło gremium redakcyjne, lepiej zorientowane w zwyczajach ówczesnych. W redakcji „Świata" pracowali wtedy tacy znakomici dziennikarze" ,jak Wincenty Kosiakiewicz, Adam Breza, Józef Jankowski, Antoni Chołoniewski, Antoni Miecznik.

Henryk Siekiewicz mieszkał wtedy w narożnym domu przy ulicy Chopina i Mokotowskiej. Dom ten obecnie nie istnieje. Pociski niemieckie starły go do cna. Kupa gruzów znaczy tylko ślad, że w tym miejscu stała ongiś warszawska kamienica.

Sienkiewicz nie przyjmował nigdy nikogo rano. Od godziny 10-ej do 3-ej pp. pracował całkowicie odizolowany od świata .Znano dobrze te pracowite godziny twórcy wspaniałych opowieści i nie nachodzono go w tym czasie. Stelefonowałem się z panią Sienkiewiczową i prosiłem, żeby mi wyrobiła audiencję u męża. Niebawem otrzymałem odpowiedź, że mogę zaraz, natychmiast przyjechać. W redakcji wywołało to sensację. Byli tacy, którzy mniemali, że Sienkiewicz wykręci się od ankiety i rozmowy ze mną. Stało się inaczej. Już sam fakt zaproszenia wróżył pomyślny rezultat.

Wpadłem do mieszkania Sienkiewicza zziajany. Biegłem po trzy schody byle nie dać na siebie czekać .Było to przecież wyróżnienie. Sienkiewicz nie przyjmował nikogo między 10-tą a 3-cią. Wszedłem do jego gabinetu punktualnie o 12-ej. Właśnie biła ta godzina na zegarze ,stojącym na krawędzi dużego, kaflowego, białego pieca.

Wielki pisarz powitał mnie ciepło, życzliwie, z pewnym zainteresowaniem.

— A, to pan był w Jasnej Polanie u Lwa Tołstoja?

— Tak. Byłem.

— Co pana do mnie sprowadza?

— Ankieta, którą pan zapewne otrzymał od redakcji „Świata".

— Tak... coś otrzymałem, ale jeszcze nie rozejrzałem się w listach. Kilka dni nie było mnie w Warszawie.

Wczepiłem się wzrokiem w Sienkiewicza. Siedział przy mnie na zwykłym trzcinowym fotelu. W gabinecie nie spostrzegłem niczego niezwykłego. Ot — zwyczajny, przeciętnie zamożny, mieszczański pokój, umeblowany bez żadnych artystycznych zamiłowań. Na ścianach wisiało kilka obrazów. Może wśród nich znalazło by się coś godniejszego wyróżnienia, lecz musiałem załatwić sprawę ankiety. Rozglądanie się było zrosztą niewskazane.

Sienkiewicz siedzący na fotelu wydał mi się trochę większy. Gdy stał przy mnie — sięgał mi do głowy. Wzrost miał zaledwie średni. Brzuszek uwypuklał się wcale widocznie. Głos jego brzmiał bez żadnej efektacji. W miarę jak rozmawialiśmy, Sienkiewicz rozruszał się; z uśmiechu, z przyjaznego tonu wnioskowałem, że słucha z uwagą o co go proszę, co mnie interesuje, o co mi chodzi w zaprojektowanej ankiecie. Powiedział w pewnej chwili:

— Nauce psychologii zrobię zawód. Moja twórczość jest tak nieskomplikowana. Nigdy nie potrzebuję nadzwyczajnych podniet czy okazji, żeby pisać. Załatwiam te rzeczy zawsze od 10 do 3-ej. Unikam pisania w nocy. Co mnie obecnie zastanawia — to fakt, że nie mogę teraz napisać tyle kartek, ile leciutko zapisywałem jeszcze dzisięć lat wstecz. Rękopisy moje są prawie bez poprawek. Piszę jednak powoli, z namysłem, ciężko.

— Czy pan ma jakiś skomponowany plan powieści nim ją pan zacznie pisać?

— Nie, Nigdy takiego planu nie robiłem. „Trylogię" pisałem z odcinka na odcinek.

— W jaki sposób Pan nie pomylił osób, wydarzeń, miejsc, gdzie odbywa się akcja?...

— Rzeczywiście. I dla mnie jest to pytanie. Ale proszę Pana — mam piękny kałamarz. W tym kałamarzu mieszczą się wszystkie moje możliwości pisarskie...

Mając już kilka odpowiedzi Przybyszewskiego, Weyssenhoffa, Reymonta, Tetmajera, zaznajomiłem znakomitego gospodarza z ich metodą pracy.

Sienkiewicz słuchał z ciekawością, lecz zrobił uwagę: — Twórczość wymyka się spod jakichś ustalonych norm.

Chciałem się jeszcze dowiedzieć, czy Sienkiewicz nie wzmacnia się jakimiś narkotykami, czarną kawą, winem, papierosami. Pytałem czy zauważył jakieś zmiany w swojej pracy, gdy jest dobrze najedzony, głodny, gdy nie je mięsa.



Henryk Sienkiewicz

Słuchał cierpliwie i nie znalazł żadnych różnic w swojej pracy.

— Proszę Pana pisanie jest taką samą robotą, jak każda inna. Trzeba mieć do tego specjalne uzdolnienie i nic więcej.

— No, a wiedza?

— O tym się nie mówi. Kulturalny człowiek całe życie czymś się interesuje, czegoś się uczy, ciągle ma jakieś miłe złudzenia.

Rozmawialiśmy chyba z godzinę. Zapytałem czy mogę napisać wszystko, to, czego się dowiedziałem o sposobach pracy Sienkiewicza.

— Wie Pan. Ja Panu sam wszystko napiszę.

— Kiedy otrzymam rękopis?

— Na kiedy Panu jest to potrzebne?

— Na jutro rano.

— Na rano? No, dobrze, jutro poślę do „Świata" skrypt na Pańskie nazwisko.

Rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Wróciłem do redakcji na skrzydłach. Breza nie uważał jednak, że wizyta moja da pożądany rezultat.

— Gdzie on ma czas na takie kawałki?

Aliści na drugi dzień przyszedł list na moje nazwisko z odpowiedzią Sienkiewicza. „Świat" mógł rozpocząć drukowanie ankiety. Teraz kochana redakcja uważała, że odniosłem sukces. I rzeczywiście zeszyt „Świata" z odpowiedzią Sienkiewicza wzbudził powszechne zainteresowanie. Nawet w prasie zagranicznej przetłumaczono odpowiedź Sienkiewicza.

Później jeszcze kilka razy przedrukowywano i powoływano się na słowa Sienkiewicza, wyjaśniające jak pisze, jak powstały jego powieści. Prawie zawsze pomijano mnie, jako autora tej ankiety, choć pod tą ankietą były moje inicjały. Rzecz prosta, że nikt nie zapłacił mi grosza za przedruki.

Rękopis Sienkiewicza chciano ode mnie nabyć po wydrukowaniu w „Świecie". Znalazł się miłośnik autografów. który ofiarował mi 300 rubli. Wolałem zrobić z tego rękopisu prezent mojej siostrze. Spalił się on wraz z domem na ulicy Złotej 5, w którym mieszkała do powstania.

Stare roczniki „Świata" znaleźć jeszcze można w niektórych bibliotekach prowincjonalnych. Przechowany więc jest ten ważki dokument o psychologii twórczości autora „Trylogii".

Sześćdziesięciolecie powstania tego arcydzieła naszej beletrystyki jest ważną datą w historii naszej kultury.

Czy wiadomości te zadowolą mego miłego maturzystę? Czy zaciekawią zwykłego czytelnika? Od 1913 roku, gdy wydrukowane były w „Świecie" minęło już tyle wstrząsających wydarzeń.

Po Sienkiewiczu, którego znałem i mógłbym jeszcze opisać kilka innych z nim spotkań i rozmów, pozostały mi w pamięci tylko te proste, ciepłe, niemal odruchowe powiedzenie:

— Proszę Pana mam piękny kałamarz .W tym kałamarzu mieszczą się wszystkie moje możliwości pisarskie.

Dla mnie była to wtedy rewelacja! Wundt, Meumann, Lipps tyle mnie nauczyli psychologii, tyle przerobiłem tekstów, napatrzyłem się mnóstwa doświadczeń — a prostota oświadczenia Sienkiewicza odkryła mi więcej tajemnicę psychologii twórczej, niż wszystkie dociekania.

Siekiewicz-człowiek odsłonił się też przez tę pełną prostoty odpowiedź.

Kalendarzyk historyczny

5 czerwiec

1865 ur. się kompozytor Felicjan Szopski
1865 ur. się Wincenty Rapacki
1945 Sojusznicza Rada Kontroli objęła władzę nad czterema strefami okupacyjnymi w Niemczech

6 czerwiec

1530 ur. się poeta Jan Kochanowski
1818 zm. gen. Józef Henryk Dąbrowski
1836 ur. się Mikołaj Biernacki (Rodoć) satyryk
1880 ur. się Norbert Barlicki
1944 lądowanie wojsk sprzymierzonych w Normandii
1945 potworna zbrodnia band NSZ w Wierzchowinach w pow. Krasnystawskim

7 czerwiec

1443 trzęsienie ziemi w Polsce
1492 zm. król Kazimierz Jagiellończyk
1876 zm. George Sand
1940 polska łódź podwodna „Orzeł" zatopiona pod Helgolandem

8 czerwiec

622 zm. Mahomet
1781 ur. się John Stephenson, wynalazca kolei żelaznej
1810 ur. się kompozytor Robert Schumann
1901 premiera opery „Manru" Paderewskiego
1945 rozkaz marszałka Żymierskiego o osadnictwie wojskowym na Ziemiach Odzyskanych

9 czerwiec

1595 ur. się król Władysław IV
1672 ur. się car Piotr Wielki
1870 zm. Karol Dickens
1926 zm. Władysław Mickiewicz, syn Adama

10 czerwiec

1845 skazanie ks. Ściegiennego na zesłanie do ciężkich robót
1944 zm. literat Zygmunt Bartkiewicz

CHRZEST IRKI

Nasz drogi, stary „welingtoniak", zwany popularnie „kałamaszka" zakończył swój zasłużony żywot, gdzieś na znienawidzonej ziemi niemieckiej, zabierając nam jednocześnie Stacha wraz z jego załogą.

Żałowaliśmy naszych kolegów, ale i nad starą naszą maszyną, która nie jednokrotnie mocno postrzelana, ostat nim wysiłkiem dociągnęła do bazy, uroniliśmy łezkę współczucia

Wkrótce, po zaginięciu załogi F L Stacha, otrzymaliśmy nową maszynę.

Oficer techniczny dywizjonu, wytworny kapitan Marek, siedząc wieczorem w kasynie i flegmatycznie pociągając piwo, zwrócił się do mnie suchym tonem.

— Dostaniecie nową maszynę i bardzo chciałbym, byście ją oblatali jutro z samego rana.

— Dobrze — odparłem machinalnie, myśląc jednocześnie o zaginionych kolegach i o rozbitym starym Wellingtonie.

Bombardier Zbych zauważył widocznie moją zadumę, bo cicho dodał

— Trudno! Tamto przeminęło z wiatrem!

Nazajutrz, oglądając nową maszynę, przypomniałem sobie jego słowa i z tym większym zaciekawieniem badałem świeży nabytek.

Stał sobie na lotnisku, taki sam jak i setki innych Wellingtonów, jedynie odróżniał się od nich świeżością lakieru i wzorową czystością. Proba silników wypadła bardzo dobrze, startujemy więc na godzinny próbny lot. Silniki grają równym rytmem, kadłub nie trzeszczy, zdawałoby się, że wszystko jest w idealnym porządku gdyby nie jedno ale...

Maszyna jest dziwnie „narwowa", czuję najwyraźniej, że każdy wiraż, każdą ewolucję trzeba przeprowadzić energiczniej i silniej. Lubi widocznie „fruwać" własnymi drogami.

Lądujemy wreszcie, a do księgi usterek i zażaleń, wpisuję długą litanię mych skarg.

Wieczorem, na posiedzeniu w kasynie ustalamy dla niej nazwę. Na wyraźne życzenie naszego nawigatora Chrzana obdarzamy ją imieniem Irki, a nazajutrz brygadzista dokonał obrzędu chrztu przy pomocy pędzla i białej farby. Chrzan osobiście dopilnował tego ceremoniału.

W międzyczasie oficer techniczny dywizjonu, wytworny kapitan Marek zrobił mnie okropną awanturę.

— Jak mogłeś — cedził przez zęby, co u niego oznaczało niesłychane wzburzenie — jak mogłeś wpisać do księgi tyle usterek! Maszyna jest rasowa, mówię ci pierwsza klasa, tylko ty nie jesteś pilot a... — tu wahał się długo nad użyciem przekleństwa — a przeciętny szofer!

Spojrzał na mnie z pogardą i odszedł urażony.

Szczęśliwie mieliśmy kilka dni wolnych od lotów bojowych i mogłem z całym spokojem zapoznać się z Irką, która powoli „zaczęła wchodzić mi w krew". W rannych lotach odkrywałem jej rasę, a wieczorem oblewaliśmy jej klasę. Wszystko było zatem w należytym porządku.

Wreszcie okres spokojnego próżniactwa skończył się, a nasza „Irka" miała przebyć teraz chrzest o wiele gorszy, od dotychczasowego, chrzest bojowy.

Już od samego rana wzmożony ruch w dywizjonie zapowiadał wznowienie lotów bojowych. Ryk silników, próbowanych na pełnym gazie, mącił spokój wiosek przyległych do lotniska, mechanicy biegali jak opętani, a personel latający z niecierpliwością czekał na otwarcie drzwi do sali odpraw. Gwar zmieszanych głosów, przypuszczenia, domysły wzmagały nastrój podniecenia i zdenerwowania.

Nareszcie upragniona chwila nadchodzi i wchodzimy do sali odpraw, ciekawie przyglądając się wielkiej mapie, przykrytej chwilowo nieprzeniknioną zasłoną. Wiemy doskonale, że na niej czerwoną tasiemką zaznaczona jest trasa dzisiejszego lotu bojowego.

Koniec tej cieniutkiej, czerwonej tasiemki — to cel, gdzie upadną nasze bomby

Po upływie paru minut, bocznymi drzwiami wchodzi dowódca dywizjonu, celebrant tych dobrze nam znanych odpraw. Tajemnicza mina, w ręku nieodstępna pałeczka, oto obraz naszego starego, popularnie zwanego „Fakirem". Stanął przed mapą i odrazu rozpoczął:

— Panowie! Cel na dzisiejszą noc jest tu! — mówiąc to zerwał szybkim ruchem przesłonę, ukazując nam wreszcie mapę

— Mannheim!

Gwar zmieszanych głosów zapanował na całej sali. Uwagi krzyżowały się w powietrzu.

— Psia krew! Daleko!

— Południowe Niemcy, mało będzie benzyny na powrót!

Dowódca szykował nam jednak jeszcze większą niespodziankę.

— Bomber command, — zabrał ponownie głos — dzisiejszej nocy wysyła na bombardowanie fabryk ciężkiego przemysłu w Mannheim 800 maszyn. Taktyka lotu jest eksperymentalna — to znaczy, cały lot do celu koszący, bombardowanie z wysokości dowolnej, powrót również lotem koszącym *).

Na sali wybucha prawdziwa burza, lot koszący nocny, z maszyną obładowaną bombami, ponad terenem nieprzyjacielskim, było to naprawdę coś nowego i nigdy niepraktykowanego dotychczas.

Dowódca, stojąc na podium, z dyskretnym uśmiechem obserwował nasze zmieszanie i słuchał naszych komentarzy.

Wreszcie gwar niknie, bo teraz szybko następuje krótkie, treściwe odprawy meteorologa, uzbrojeniowca, taktyka ofcera wywiadu i sakramentalne uzgodnienie czasu. Odprawa skończona.

Wysypujemy się na świeże powietrze, by po raz ostatni oblatać naszą „Irkę".

Na lotnisku życie wrze ze zdwojonym pośpiechem. Samochody, ciągniki i wszelkie pojazdy mechaniczne mkną z błyskawiczną szybkością rozwożąc benzynę, bomby i amunicję. Powoli jednak ruch ustaje, lotnisko wyludnia się i pozostają tylko wartownicy, pilnujący uśpionych maszyn.

Tymczasem w kasynie panuje atmosfera, jak w grobowcu rodzinnym. Ci którzy lecą na wyprawę, sztucznym humorem psują do reszty pogrzebowe nastroje pozostających na ziemi, a nerwowe wyczekiwanie na godzinę startu udziela się wszystkim, nie wyłączając usługujących kelnerek. Wreszcie o godz. 9.30 autobus dla załóg porywa nas z kasyna na lotnisko. W mroku nocy majaczą niesamowite, groźne, potworne cienie maszyn. Szybko, ubieramy się, ostatnie oględziny maszyny i krótki meldunek brygadzisty:

— Panie kapitanie! „Irka" gotowa do startu!

Zajmujemy miejsca w maszynie.

— Gotowe, panie sierżancie!

— Gotowe panie kapitanie odkrzykuje brygadzista.

— Kontakt!

— Kontakt!

Ciszę wieczoru przerywa brutalnie łoskot śmigieł, zrazu jednej maszyny, potem dołącza się chór innych silników, a po chwili całe lotnisko rozbrzmiewa rykiem makabrycznej orkiestry.

Pierwsza maszyna rusza do startu, a po chwili światło kontrolne wyzwala ją w powietrze. Jesteśmy trzeci skolei, więc za chwilę przychodzi pora i na nas.

Dodaję powoli gazu, a obciążona do granic możliwości „Irka" niechętnie rusza, toczy się, zwolna nabiera rozpędu, pneumatyki mocno dobijają na nierównościach trawiastego lotniska. Strzałka szybkościomierza wychyla się jednostajnie, mijają ostatnie yardy drogi startowej, wreszcie zrywamy łączność z ziemią i unosimy się w powietrze.

Lot odbywa się spokojnie, latarnie na ziemi mrugają przyjaźnie, czasem w pobliżu zamajaczy cień bratniej maszyny. Mijamy z boku Londyn i wychodzimy nad morze. Duszę maszynę do samej wody i prawie ślizgając się po niej, lecimy w przeznaczenie. Z dala majaczy już cień brzegu, poprzedzony białą linią rozpryskujących się fal. Na zwiększonych obrotach przeskakujemy wybrzeże usiane gęsto obroną artyleryjską i lecimy nad samą ziemią, w ciemnej maszynie, z wygaszonymi wszystkimi światłami. Oczy aż bolą od wysiłku i ciągłego wypatrywania.

Gdzie niegdzie błyski wśród nocy znaczą ślad maszyny, która niebacznie nadleciała nad niemieckie gniazda karabinów maszynowych.

Płaski, nadmorski teren zaczyna przechodzić stopniowo w zdecydowanie górzysty. Nasz bombardier Zbych leżąc w swej bombardierskiej kołysce, z nosem spłaszczonym na szybie pancernej, prowadzi nas wąwozami orientując mapę z rzeczywistością terenu.

Nagle jakaś wielka jasność wybucha niedaleko nas. To jedna z naszych maszyn, trafiona pociskiem zapaliła się w powietrzu. Przez parę chwil płonie, jak pochodnia, wreszcie olbrzymi, fajerwerk wybuchu znaczy jej ślad zetknięcia się z ziemią.

Ubyła jedna maszyna i kilka istnień ludzkich przeniosło się w zaświaty.

Gaz do przodu i w nogi! Dopiero po ucieczce z zagrożonego terenu będzie czas na zaciśnięcie z wściekłości pięści. Myśl, że wkrótce będziemy mogli Niemcom zapłacić dziewięcioma pięćsetkami za zestrzelonych kolegów pociesza nas nieco.

Niemcy są naogół zdezorjentowani naszym koszącym lotem i źle odkładają poprawki, to też raz po raz różaniec różnokolorowych pocisków broni maszynowej znaczy swój ślad przed i za nami, nie robiąc nam przy tym szkody.

Na ostatnie pół godziny lotu wyskakujemy na 10.000 stóp, gdyż z tej wysokości mamy wejść na cel. Wkrótce na horyzoncie widzimy wyraźne łuny ogni i pożarów. To nasz cel — Mannheim.

Wchodzimy na kurs bojowy. Widać teraz wyraźnie pożary w mieście, dymy unoszące się ciężkimi słupami, a różnokolorowe świece powietrzne — flary znaczą środek celu wyznaczony do bombardowania. Co trzy minuty, blaskiem płomieni i szarzyzną dymów.

Nagle maszyną naszą szarpnął gwałtowny podmuch. „Irka" wali się ciężko na łeb. Ręce automatycznie wyrównywują ją, ale w kabinie czuć wyraźnie dym i swąd. Patrzę niespokojnie na zegary — narazie wszystko w porządku. Widocznie wiązka pocisków artylerii ciężkiej rozerwała się w pobliżu. Ostry głos bombardiera, zabrzmiał w słuchawkach:

— Bombardier do pilota! Dwa stopnie w lewo! Pięć stopni w prawo! Maszyna równo! Szybkość stała! Trzymać! Trzymać! Do cholery trzymać!

Ręce zaciskają się na kierownicy sterowej, nogi sztywnieją na orczyku, wzrok przykuty do zegarów. Wściekłe podmuchy wybuchów szrapneli artyleryjskich szarpią „Irką", a muszę za wszelką cenę utrzymać ją na kukrsie, bo zaraz będziemy rzucać bomby.

— Uwaga Uwaga! Nadlatujemy!— alarmuje głos bombardiera w słuchawkach.

Następuje moment ciszy i oczekiwania.

— Drzwi bombowe otwarte. Uwaga!

— Bomby poszły — woła w słuchawkach uradowany głos Zbycha. Czuję to wyraźnie, bo pozbawiona piguł „Irka" rwie do góry, szybkość wzrasta i głębokim skrętem uciekamy z celu zostawiając wolne pole do popisu innym „Zośkom", „Wandom" i „Jankom".

Po chwili tylny strzelec Antoś, drze się na cały głos w słuchawki:

— Bomby w celu! Widzę wybuchy! Hurra!

Wiejemy teraz jak najszybciej ku ziemi, by lecąc nad dachami domów, uchronić się przed atakami nocnych myśliwców. Pozostawiamy za sobą łuny pożarów i uciekamy na pełnym gazie do domu. Szybkość mamy bardzo dużą, jednak nie wszystko jest w porządku. „Irka" zaczyna dziwnie stękać, a lewy silnik zaczyna trząść bardzo podejrzanie. Jedyna nadzieja, że to nic poważniejszego.

Czas leci teraz bardzo wolno, a każda sekunda zamienia się w godziny. Oczy, zmęczone wysiłkiem ciągłego wypatrywania, przymykają się mimowoli. Niebezpieczny to objaw, przy nocnym locie nad ziemią, minuta nieuwagi — to śmierć, to jedno więcej odznaczenie dla „bohaterów Luftwaffe", którzy nieomieszkają wypadek ten podciągnąć pod zestrzelenie maszyny alianckiej.

Nagle ziemia budzi się pod nami, a serje z ciężkich karabinów maszynowych krzyżują się koło „Irki". Kątem oka widzę przed sobą betonową drogę startową.

— Cholera! Nadlecieliśmy nad niemieckie lotnisko! — woła do mnie Chrzan. Duszę tery maszynę do samej ziemi, szorując nieomal brzuchem po gładkim asfalcie. Świetlne pociski, wystrzeliwane z bliskiej odległości robią niesamowite wrażenie, zdaje mnie się, że ich tory muszą skrzyżować się na wysokości mojej głowy. Do rozpętanego na ziemi piekła dołączają się browningi naszego tylnego strzelca, który chce uspokoić trochę obronę.

Gwałtowne szarpnięcie wolanta, podnosi mi włosy pod ciężką haubą.

— Kraksa! — przebiega błyskawiczna myśl. Mimowoli zamykam oczy. Nic się jednak nie dzieje. To tylko bombardier dojrzawszy maszt radjostacji tuż przed nami, dosłownie wyszarpnął maszynę.

Lotnisko z jego ziemną obroną pozostało dawno za nami, ostatnie strzały ucichły, jedynie serce, które podeszło pod samo gardło, tłucze się jeszcze jak oszalałe.

Jesteśmy nad Francją, za 35 minut dolecimy do wybrzeża kanału La Manche! — słyszę spokojny głos Chrzana. — Ależ mnie się chce spać — dodaje po chwili.

Zwiększam szybkość, by ostatni odcinek przeskoczyć jaknajprędzej. Z dala na horyzoncie widać smugi reflektorów, które mackami swymi przeszukują sklepienie nieba. To Dunkierka.

Ziemia zaczyna się znów budzić. Strzały artyleryjskie stają się coraz intensywniejsze, to też zmuszeni jesteśmy tańczyć jakiś fantastyczny taniec, robiąc uniki w zagrożonych miejscach. Wreszcie przed nami zbawcza woda. Głębokie westchnienie ulgi.

Teraz zaczynają gwałtownie mówić wszyscy, jeden przez drugiego, wspominając przeżyte niedawno chwile. Jednak z momentem odprężnia nadchodzi automatycznie zmęczenie.

A tymczasem z „Irką" dzieje się coś niedobrego. Zapomnieliśmy o niej w gorących chwilach, teraz ona przypomina się wyraźnie.

Lewy silnik tak trzęsie, jakby kto w niego nasypał wiadro kamieni.

— Kochaną, jeszcze piętnaście minut — płynie cicha modlitwa — jeszcze dziesięć, a będziemy na swoich śmieciach. Hurra! Widać z dala nasz bicon, który przyjaźnie mruga szyfrem swych liter.

Nareszcie u siebie nad lotniskiem!

— Hallo Lincoln! Hallo Lincoln!— krzyczę do mikrofonu. — I for Irka. I for Irka, pozwolenie lądowania, pozwolenie lądowania, „Irka" — nawala — wołam skrótem telegraficznym.

— Hallo „Irka" — brzmi wkrótce odpowiedź — tu Linkoln, pozwolenie lądowania Nr. 1, lądujcie na kierunek 270 st., czy słyszycie?

— Słyszymy i dziękujemy.

Podwozie zostaje wypuszczone, ostatni przegląd zegarów, klapy w dół lądujemy. Ostatni moment napięcia przy lądowaniu i po chwili siedzimy już na ziemi. Odkołowywujemy na miejsce zaparkowania i wyłączamy silniki. Oficer techniczny dywizjonu, wytworny kapitan Marek oczekiwał już na nas.

— No i jak tam „Irka' — pada z miejsca jego pytanie.

— Doprawdy świetna, mówię — tylko w lewym silniku coś grzechocze.

Marek wyciąga latarkę kieszonkową i przy jej nikłym świetle oglądamy maszynę. Lewa nadbudówka silnikowa jest cała poszarpana i smętnie zwieszają się jakieś szczątki.

— Ano dostaliście od atrylerii — cedzi wolno techniczny — dziękujcie Bogu, że sie i tak wszystko szczęśliwie skończyło.

— No bo widzisz Marku — zwracam się do niego — nasza „Irka" choć z okiem podbitym to doprawdy rasa i klasa!

Ostatnie silniki na lotnisku umilkły, a w oddali na horyzoncie niebo zaczęło się stopniowo rozjaśniać. Nadchodził nowy dzień.

---

*) Lot koszący — lot na bardzo małej wysokości, tuż nad samą ziemią.

**) Zabieraliśmy 9 bomb po 500 funtów każda.

***) Bicon — latarnia ziemna.

H. Myszkowski
i M. Krzywda Modzelewski

Z filmu

KULISY WIELKIEJ REWII

Doprawdy nie wiedzieć czemu film ten zapowiadany jest na afiszach jako komedia. Jest wprawdzie i humor, ale przede wszystkim na treść filmu składają się przeżycia bohaterek pełne momentów o zabarwieniu nawet tragicznym. Treść filmu to dzieje trzech dziewcząt zaangażowanych jago girlsy do sławnego rewiowego zespołu amerykańskiego Ziegfelda. Zangażowane w różnych sytuacjach, różnie reagują na to wyróżnienie przez szczęśliwy przypadek, choć wszystkie trzy muszą już na samym początku płacić wyrzeczeniem się jedna współpracy dotychcza sowej z ojcem, druga — męża, trzecia — narzeczonego.

Łatwo jest zostać girlsą, jeśli się ma ładną buzię, figurkę, nogi i głos na dodatek, nie mniej łatwo jednak przestać nią być. A wtedy, gdy raz zakosztuje się sławy i bogactwa, gdy oczy przywykną do przepysznych dekoracji, toalet i oślepiających świateł refelktorów — jeszcze łatwiej stoczyć się na samo dno życia.

Film ten to jakby ostrzeżenie dla młodych, ładnych dziewcząt amerykańskich, dla których taka właśnie kariera jest szczytem szczęścia.

Mamy już ustaloną opinię o tego rodzaju filmach amerykańskich, w których oprócz wspaniałej wystawy trudno doszukać się jakichś głębszych walorów. „Kulisy Wielkiej Rewii" zaliczyć można jednak do filmów udanych.

Zdjęcia z rewii — wspaniałe, taniec meksykański pełen temperamentu i doskonałej rytmiki daje wiele zadowolenia wzrokowego. Mimo jednak niewątpliwej urody trzech bohaterek (Hedy Lamarr, Lana Torner, Judy Garland), mimo bardzo dobrej gry, wspaniałych efektów wzrokowych i pierwszorzędnej muzyki jazzowej widz — na długo przed końcem filmu czuje się znużony. Film jest zbyt długi i wprost przeładowany różnorodnymi efektami.

„Uśmiercenie" przy końcu filmu jednej z bohaterek, która i tak dostatecznie dużo zapłaciła za swoją lekkomyślność i zrozumiała, że posiadanie wymarzonych toalet nie jest najważniejszą rzeczą w życiu, przekreśla ten film jako komedię i pozostawia widzowi uczucie pewnego zawodu i żalu.

Rodzina Froment

Film ten mógłby prawdopodobnie zrobić na widzu polskim większe wrażenie, gdybyśmy go oglądali przed ostatnią wojną. Dzisiaj, kiedy niema chyba w Polsce rodziny, która nie złożyła by daniny z życia swoich najbliższych w obronie Ojczyzny, lub która nie zaznałaby hitlerowskich obozów i metod, film nie może wstrząsać głęboko.

Dzieje pewnej francuskiej rodziny na przestrzeni lat siedemdziesięciu, walczącej w trzech wojnach z Niemcami to tylko cząstka tragedii, która była udziałem rodzin polskich.

Początek filmu jest dla nas zbyt dekoracyjny i papierowy, po prostu nierealny i nie tylko, że nie wywołuje grozy, ale nie daje nawet zadowolenia artystyczno - wzrokowego.

Mimo, że w całości film jest ciekawy, dzięki reżyserii Duviviera jek i doskonałej obsadzie, wiele jest w nim niedociągnięć. Duvivier zbyt duży okres czasu chciał pokazać w ramach dwugodzinnego seansu. Przejścia z jednego okresu w drugi, z pokolenia w pokolenie, musiały być siłą rzeczy zbyt powierzchownie potraktowane. Niektóre sceny ciągną się zbyt długo, inne są zupełnie zbyteczne jak np. okres pobytu Bernarda Froment w Senegalu i jego śmierć i z powodzeniem można by je usunąć, bez szkody dla całości.

Zupełnie teatralnie i jakby na pokaz wygląda szpital francuski z eleganckimi siostrami, tak różny od tego co widzieliśmy w czasie wojny i powstania.

Natomiast bezapelacyjnie doskonałe są zdjęcia wprowadzające nas w epokę końca XIX wieku i początku XX. Młodym wydaje się ona śmieszną niewątpliwie, tak w sposobie bycia jak ubiorach, czy zabawach. Starszym nasunie wspomnienia z okresu ich młodości i da chwile przyjemnych wzruszeń.

Śmieszy nas szczerze kiedy oglądamy jeden z pierwszych modeli samochodów, który rozwijał zawrotną szybkość aż... 27 klm. na godzinę. Albo ślub na rowerach czy pierwsze loty powietrzne i emocje jakie w tym czasie przeżywano z tego powodu. To są naprawdę świetne momenty.

Gra artystów czołowych ról na wysokim poziomie i pod tym względem nie mamy zawodu. Gdyby tylko Jouvet miał dłuższą rolę, a nie dwa krót kie epizody.

Michele Morgan chwilami trochę mało naturalna, ale może powodem jest epoka którą reprezentuje i może taką właśnie ma być?

Mimo pewnych więc niedociągnięć film ogląda się z żywym zainteresowaniem i dlatego warto go jednak zobaczyć.

D. H.



Teatr Letni w Warszawie

W drugiej połowie czerwca br. Warszawa otrzyma Teatr Letni w dawnym ogródku Lardellego przy ul. Polnej. Spółdzielnia aktorska, która zamierza uruchomić jeszcze w bieżącym roku Teatr Ludowy, rozpoczyna swoją działalność od obdarzenia stolicy na okres letnich upałów teatrem operetkowym nieomal na „świeżym powietrzu", bo w ogrodzie pod płótnem, ale z najautentyczniejszą sceną. Zobaczymy na niej „Nituche", ze Stefanią Jarkowską w roli tytułowej.

Prezesem nowej spółdzielni aktorskiej jest Jan Mroziński, wiceprezesem — Janusz Popławski. Ponadto w zespole jeszcze kilka „głośnych" nazwisk i balet Parnella. Kierownik literacki — Eugeniusz Żytomirski.

L. R.

Poznajemy artystów

Krystyna Salaburska



Z przyjemnością zobaczyłam tę młodą i utalentowaną aktorkę teatru łódzkiego na występach w Warszawie. Ucieszyłam się i jednocześnie było mi przykro, że musiała grać, tak niewdzięczną i papierową rolę w „Bankierach ruin" A. Ważyka, choć trzeba podkreślić, że dawała so bie z nią doskonale radę.

Bo szkoda jej talentu (śmiało powiedzieć można wszechstronnego) do takich ról.

Widziałem ją w ubiegłym sezonie w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu, kiedy grała Panią w „Dwóch teatrach". Aglae w „Orfeuszu" oraz Emmę w „Za kulisami" — Norwida. W kreacjach tych była doskonała. Jej gra jest bez szarży, a sylwetki, które odtwarzała — pełne wdzięku.

Szczerze należy żałować, że pokazano ją Warszawie w takiej nieodpowiedniej dla jej typu roli i w sztuce, która nie potrafiła wydobyć z niej wszystkich walorów jej bogatej indywidualności, a publiczności nie po trafiła dać zadowolenie.

Mamy jednak nadzieję, że zobaczymy ją jeszcze w odpowiedniejszych rolach, w których będzie mogła pokazać nam całą klasę i finezję swojej naprawdę dobrej gry.

Z teatrów

„Poskromienie Złośnicy" w Lublinie

Nowym artystycznym sukcesem Teatru Miejskiego w Lublinie była komedia W. Szekspira „Poskromienie złośnicy".

Reżyserka, Zofia Modrzewska, w oparciu o przekład i inscenizację Tadeusza Białkowskiego, dała Lublinowi i innym miastom województwa lubelskiego (zespół Teatru Miejskiego w Lublinie nie boi się uciążliwych podróży) barwne, ciekawe, pełne ruchu i humoru widowisko, wskrzeszające echa szczęśliwego dla sztuki scenicznej okresu komedii dell'arte. Komedia zagrana została w stylu Odrodzenia tak właśnie, jak grywano ją zapewne w teatrze... Szekspira. Ówczesne przedstawienia teatralne dzięki swobodnemu kontaktowi sceny i widowni, miały do pewnego stopnia charakter zabawy ludowej i ten właśnie charakter widowiska odtworzyła szczęśliwie Modrzewska, nadając przedstawieniu, jak słusznie pisze o nim kierownik literacki Teatru Lubelskiego, p. M. Bechczyc-Rudnicka — „lekkość, rytm i styl najlepszych komedii Szekspira".

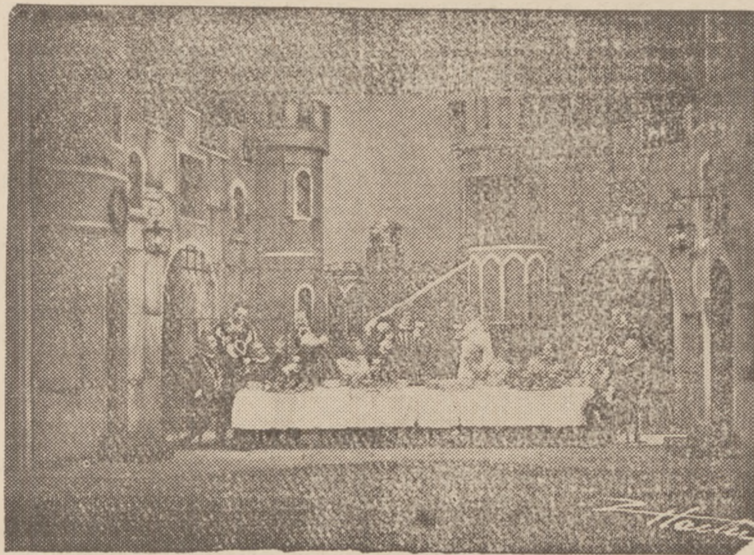
Ten rodzaj widowiska renesansowego, podkreśla pomysłowa oprawa sceniczna Jana Hawryłkiewicza, przedstawiająca w ciągu trzech aktów jeden i ten sam dziedziniec typowego zamku angielskiego, jeden z tych, na których zespół szekspirowskiego teatru grywał utwory Szekspira.

Osiągnięto dzięki temu zamierzony efekt sceniczny, zbliżając jeszcze skuteczniej epokę szekspirowską do wyobraźni widza.

Zespół, z małymi wyjątkami, stanął na wysokości niełatwego zadania, co pozwala na zaliczenie lubelskiego „Poskromienia złośnicy" do najlepszych przedstawień Szekspira na scenach polskich po wojnie.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje gra uroczej H. Ziółkowskiej w roli „Złośnicy" — Kasi, M. Kondrackiego jako Kapki i Kuryłły jako Hortensia. Ponadto — Janina Łaszczyk, S. Cybulska, L. Gołębiowski, Z. Borkowski i uczniowie szkoły dramatycznej — w kilku doskonałych epizodach.

L. R.



Scena ze sztuki „Poskromnienie Złoś nicy" Szekspira granej z powodzeniem w Teatrze Miejskim w Lublinie

NOWE KSIĄŻKI

Albert Maltz — Te trzy dni. Opowieść amerykańska z cyklu „Biblioteka Romansów i Powieści". Str. 62 Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Władysław Smólski — Drewniana kozula. Zbiór ciekawych humoresek, z których jedną podamy w najbliższych numerach. Str. 118 Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Witold Doroszewski — Rozmowy o języku. Str. 232 Radiowy Instytut Wydawniczy.

Stanisława Fleszarowa - Sen o morskiej potędze. Pięknie napisany poemat z czasów Władysława IV z przedmową min. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Okładka i drzeworyty Lesława Kiernickiego. Str. 90. Wydawnictwo „Fregata" Sopot.

Radiotechnika cz. I. Podręcznik opracowany przez zespół wykładowców Oficerskiej Szkoły Łączności. Daje podstawowe wiadomości teoretyczne takich zjawisk jak drgania elektryczne, rezonans itp. Str. 216 Wydawnictwo Wojskowego Instytutu Naukowo Wydawniczego

Stanisław Maria Saliński

BENIAMIN



OPOWIEŚĆ Z PODEJRZANYCH MÓRZ

X

(ciąg dalszy)

Wstał z zydla, uczłowieczył się i jakgdyby odrobinę urósł nawet — patetyczny w swej nagłej synowskiej wielkości. Nawet dalekie chóralne zawodzenie krów zabrzmiało w tej chwili niską nutą uroczystego oratorium. Gdzie? W Moncay? W tym piekielnym bagnie malarycznych mgieł? W tej małpiej Dżungli? Dalibóg!...

— Dolać? Hm! Na czym to stanęliśmy? Aha, na „King Story". No, więc naprowadzam Raina na jego dziewczynki. Oyl miał rację — pojechał na tym, jak na oliwie, czik - czik! Słucham jednym uchem i pompuję w niego i manzanille i orange-bitter i jeszcze coś tam w kratkę. Minęła godzinka, stary kapłon bredzi mi i bredzi. Dwie godzinki i trzy, czas-by już aby Oyl przyszedł, bo zaczyna mi być nieswojo. W „King Story" coraz pełniej, są i nasi z „Trahison", ten i ów przysiądzie się na chwilę popić z mojej kieszeni. Czik-czik, nicżłe. Rachuneczek już trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt! Rain ma spust pierwszorzędny, szkoda gadać. Patrzę: już po północy! Ładna historia! Cała „King Story" mi się we łbie przewraca, na mój honor. Rozumiesz? Mówię do Raina — „Kapitanie, czas wracać. Do świtu niedaleko, kapitanie!" Nic, mów jak do głuchego! On swoje — o jeszcze jakiejś tam to i sio, jak i gdzie i ile razy. Dopiero o drugiej — Oyl, pijany i zły. Prosto do nas ze złością, aż mi dusza skamieniała.

— Wy — mówi — wracać na pokład, a ty, kotletowa mordo, zaraz mi tu dawać pięćset dolarów.

Rain dziwi się, za co pięćset dolarów?

A Oyl: — On dobrze wie, za co, ale jeżeli pan ciekaw, kapitanie, mogę powiedzieć.

— Jakoś wykręciłem temat, daję Oylowi pięćsetkę, a sam czuję, że coś się źle zaczyna, coś nie w porządku, coś wisi nade mną. Powlekliśmy Raina na pokład, za godzinę odkotwiczamy. Na pokładzie zapytuję nareszcie Oyla na boku — jak? W porządku, skrzyneczki na pokładzie.

— A z tymi pięciuset, które dałem panu w „King Story" to chyba żart, panie Oyl? — mówię.

A on: — Ty śmierdzący durniu, zapamiętaj sobie: ja żartować nie lubię. A po drugie: zapamiętaj — jedno moje słowo do Raina, a wszystkie skrzynie na pełnym morzu polecą za burtę. A jak poza tym ty wyglądasz wtedy z tą swoją świętą Katarzyną, co? Bardzo ten żart Rainowi spodoba się, nie uważasz?

— Cóż miałem uważać? Jedno zrozumiałem: leżę, na mój honor...

— Skatina, ten Oyl — powiedziałem do Bena, złapawszy w jego śmiesznej twarzy znajomy mi wyraz, ten sam, z pakameru „Penzy", gdy oświetliłem go latarką, dramatyczny wyraz poskramianego bólu — widzę, że wielka skatina ten twój uczynny Oyl.

— Skatina? Nie. To mocny człowiek, na mój honor. I jak rozważyć — porządny. Złapał swoją szansę i wygrał ją uczciwie. Mógł mnie zniszczyć, nie zniszczył, a tylko bardzo zmęczył. Wiesz, że mnie wszystko boli, jakbym bardzo chorował po tym rejsie. Sześć dni i nocy—tak, jakbym czekał na śmierć. Sześć dni, z Hong-Kongu aż do dzisiejszej nocy, kiedym to tutaj przyholował wreszcie. To mocny człowiek. Posłuchaj, jak było dalej. Dolać?

„White Horse" opalizowało w szklankach, trujące, mglistę, cierpkie. Za oknem szumiała ulewa, zagłuszając krowie zawodzenia, a za przepierzeniem w sklepiku zajazgotały pisklwe głosy Kuanga i innych. Ben nadsłuchiwał.

— Nic, to jeszcze nie oni — mruknął — gdzież ten przeklęty Gobinot?

— Czekasz na Gobinota? — zapytałem?

— Tak, przyjdzie tu z odbiorcą skrzynek. Po zachodzie słońca. Ale cholera wie, czy to słońce... Czy tu w ogóle jest kiedy słońce?

— Nie wiem, Ben — powiedziałem — chyba nigdy. Deszcz, cholerny deszcz, zwarjować można. Dolej mi jeszcze Ben. No, i jak to tam było z tobą? Czuję, że paskudnie wpadłeś, Ben. Niech-że cię...

Z szybkich żonglerskich ruchów rąk Bena starałem się narysować w swej wyobraźni postać owego Oyla. Widziałem go — barczysty kadłub, kwadratowy łeb, szczeka jak szufla, ryży. Figura pirata z filmu. Ohyda! Trafić takiej figurze w łapy! A niech-że cię, „kartoszka"!

Tak więc zwarł się fatalny trójkąt — „Harandy", Beniamin i ów Oyl. W dwie godziny po podniesieniu kotwicy zamknęło się dookoła nich kotlisko pustego horyzontu; z dobrym wiatrem „Trahison" pomknął na południe, zaczęły się normalne żeglarskie dni i noce na pokładzie. Nic osobliwego — rejs, jak rejs, z tym tylko pomyślnym szczegółem, że umiejętnie wyprzedzono cyklon, który niewątpliwie narobiłby kłopotów lekkiemu brygowi, idącemu pod balastem*). Wieczorem trzeciego dnia zapachniało cieśniną Hajnańską. „Trahison" miał za sobą połowę rejsu do Moncay. Fatalny trójkąt płynął spokojnie i beztrosko — Beniamin, Oyl i osiem skrzyń. Osiem?

— Jakby we mnie piorun uderzył, — zapłał Ben w tym miejscu opowiadania, — jakby piorun! Na mój honor! To kółko wyrysowane na skrzyni w kambuzie zobaczyłem rano, i przysiągłbym, że przedtym go nie było. Przecież skrzynie te oglądałem po kilka razy dziennie. Robię swoje, pitraszę, mam różne sprawy i raz po raz oblecę, to kambuz, to łuk, to pakamer — zerknąć, czy aby ze skrzyniami wszystko w porządku. A tu — bum! Czerwone kółko na skrzyni. Skąd, poco, kto? Na mój honor! Wieczorem byliśmy na wejściu do Hajnańskiej. Duszno, biało, cyklon śmierdzi, siódme poty na mnie lecą, na mój honor! Po kolacji wchodzę do messy kapitańskiej, żeby posprzątać. Siedzi Oyl, sam. Zadowolony, widzę, że chce pogadać.

— W porządeczku żeglujemy, co, Ben? — zagaduje tak jakoś przyjaźnie.

— Tak jest panie Oyl, — odpowiadam, — w porządeczku, oby tak do samego Moncay.

— To świetnie, — mówi, — to znakomicie. Ale mój kochany, muszę cię uprzedzić, potym nie było tego i owego, że ja sobie już jedną skrzyneczkę wybrałem i ruszyć ci jej nie wolno.

— Jakto? Wybrałem? Dlaczego, panie Oyl? Jakiem prawem?

— A ot tak grzecznie, że takim samym prawem, jakim Rain może w tej chwili wszystkie skrzynie kazać wrzucić do morza, a mnie zaaresztować i w Moncay oddać w ręce policji. Zacząłem mówić, że to nie jest w porządku, bo on, Oyl, swoje dolary za pomoc już otrzymał i żadnej rozmowy o jakimś jego udziale w tym całym interesie nie było. To jest mój własny interes.

— Interes jest twój, owszem, nie przeczę, — mówi, — ale ta skrzynka, com ją naznaczył kółkiem jest moja i basta! — A potym zaraz o tym, że kapitanowi obiad coś dziś nie bardzo smakował, bo zdaniem kapitana kucharz tu na bryku więcej myśli o niebieskich migdałach, niż o czynnościach za które mu płacą i on, Oyl, gotów jest podzielić zdanie kapitana. Jak mi zaczął o Rainie — widzę, że jestem przegrany w sporze o tę skrzynię z kółkiem. Lepiej stracić jedną, niż wszystko. Trudno, niech sobie bierze. Cóż tu miałem do gadania? Miał mnie w ręku i — basta, na mój honor!

— Wiesz, Ben, — powiedziałem, ten twój Oyl wygląda mi na świnię. Świnia i szantarzysta. Ot co!

— Mówiłem ci: dostał w rękę szanse i wygrał ją. Nie sądzę, aby był świnią. Przecież mógł mnie zniszczyć zupełnie, a nie zrobił tego. To była ciężka gra, bo on miał lepsze karty w ręku. Nic ryzykował niczym, a u mnie stawką był Unzen. Rozumiesz — mało, że nie mogłem nie wrócić do mojej mamaszy, a wtedy moja staruszka zginęłaby, bo my jesteśmy sami we dwoje na świecie, ale, co gorsza, nie mogłem wrócić z niczym, bo wtedy — naczynaj snaczała. A sprawa pilna! Mamaszę trzeba zawleźć do Unzen już teraz, każdy miesiąc jest ważny, każdy! Na mój honor. Dolać?

W ciszy — poza deszczowym szumem, dalekie, głuche, coraz bardziej desperackie buczenie oszalałych krów. Co im się dziś zebrało na te ryki? Nigdy dotąd nie słyszałem, aby w tym przeklętym Moncay było tyle krów. Odpiłem ze szklanki.

— No, i co dalej, Ben?

— Dalej? Minęliśmy cieśninę Hajnańską. Trzy czwarte rejsu za nami. Jest dzień urodzin kapitana Raina. Już z wieczora Oyl zarządził lepszy obiad. Przychodzi rano do kambuza.

— Ty zdaje się masz jakiś porządny zegarek — zapytuje.

Owszem, miałem niezgorszego „Tissota", kupiłem go kiedyś okazyjnie, na czarną godzinę.

— Daj mi — mówi Oyl, — to barachło, bo muszę dziś zrobić prezent Rainowi, gdyż inaczej obrazi się.

— A niech się obraża, panie Oyl, — odpowiadam, — ale nie widzę powodu, aby pan z mojego zegarka zrobił prezent dla kapitana.

— Ale ja widzę, — mówi, — bo chyba i tobie zależy, aby Rain do końca tego rejsu był w dobrym humorze. Co? A humor mu jest bardzo łatwo popsuć. Nie sądzisz?

— Nic już nie sądziłem, machnąłem ręką, idę do kajuty, wyjąłem zegarek z kuferka i oddałem Oylowi! Niech go cholera, na mój honor! Obiad był gala, popili się na okrągło, a ja, co wejdę do messy kapitańskiej, tylko to widzę — mój „Tissot" na łapie Raina. Żal mi było tego cacka, jak diabli. Jużbym, naprawdę, wolał dwa palce stracić! Ależ leje! Koniec świata, na mój honor!

Piekielny deszcz przelewał się falami, z hałasem prawdziwego morza. Chińskie głosy za przepierzeniem terkotały jak świerszcze, miękko buczał Kuang, od okienka ciągnęło zapachami dżungli i wody. W sinej twarzy Beniamina, poprzez mgłę tytoniu było coś trupiego, jak wiedy w pakamerze „Penzy" na dnie niedoli. Czyżby, spowodu tego idiotycznego zegarka?

— No, — zatarł swe pajęcze ręce żonglera, — to bagatela, ten zegarek. Nie warto mówić. Gorsze, że jak wyszliśmy z cieśniny, złapał nas sztil, a trzeba ci wiedzieć, że motorek na „Trahison" to komedia. Dobry do wyjścia z portu, ale nie na pełne morze. Taki sobie, Diesel-popychadło. No, więc sztil, czik-czik. Tylko tego brakowało. Idziemy — mila na godzinę, bo, jak wiesz, te prądy w zatoce tonkijskiej... Rozumiesz — przebyć trzy czwarte rejsu, mieć Moncay pod nosem i — stop! Na mój honor, to ciężki żart. Na trawersie wysepki Weitchou stanęliśmy jak na kotwicy, bo, na dodatek w Dieslu pękł balansjer. Terytorialne wody chińskie! Rozumiesz? Żadnej gwarancji, że nie przepłynie patrolówka z Pakhoi — i czik — czik! Nie ich, Chińczyków, rzecz badać ładunek brygu francuskiego, ale — wiesz — czasy są wojenne, wody niespokojne, a w patrolówce: — chytre manzy*). Odczekają przepisową dobę niekontrolowanego postoju „Trahison" na ich wodach a potem mają swoje święte prawo zarobić. Najprostsze — sprawdzić ładunek, listę załogi, poszwędać się po wszystkich zakamarkach. Tego się od Europy nauczyli dobrze — tych paragrafów z „loi martiale"**). I wiadomo, że nie ma gorszej dżumy, niż ci mandaryni w mundurach kantońskich celników. Tak! Stoimy na trawersie Weitchou dobę, dwie. Zaczynamy trzecią. Pusto, gorąco, nie morze, lecz srebrny raj. Nic — tylko Bogu dziękować, że taki piękny świat sfabrykował, co to ani żyć, ani umierać. Ani podmuchu, ani nadziei. Załoga sobaczy się i rżnie w kości, Rain śpi, a ja? Ja modlę się do mojej staruszki o wiatr, bo czuję, że to wszystko skończy się nieszczęściem. I jakbym je sobie wywąchał, na mój honor! Leżę na swojej koi, spojrzałem w iluminator i jak na dłoni: płynie do nas szalupa. Nie zdążyłem nawet dobrze przyjrzeć się — wchodzi Oyl.

— Manzy jadą, — mówi.

— No, to co, panie Oyl?

— A to, — mówi, — że na tej skrzynce, co w luku udaje, skrzynię z częściami do motoru, ja zrobiłem swój znak. To znaczy nie wolno ci jej ruszać, bo to moje.

— Niech pan się zmiłuje, panie Oyl, — mówię, — niech pan zrozumie...

*) bez ładunku

(ciąg dalszy w następnym numerze)

KĄCIK JĘZYKOWY

„W KIERUNKU"

Wyrażenie w **kierunku...** — niewolnicze tłumaczenie wyrażenia „In der Richtung" rozpowszechniło się zarówno w mowie potocznej, jak i w piśmiennictwie polskim. Zwrot ten używany jest zamiast poprawnych polskich zwrotów: co do, co się tyczy, w celu, pod względem itd. Oto przykłady:

„Wielka Brytania — zamiast wykonać dobrowolnie na siebie przyjęte zobowiązania w **kierunku** utworzenia żydowskiej siedziby narodowej —" podburzała jedną część ludności „przeciw drugiej". Zwrot błędny. Nie chodzi tu o „kierunek tworzenia", lecz poprostu o utworzenie siedziby. Zwrot zatym powinien brzmieć..... zobowiązania utworzenia, lub też . . . zobowązania, co do utworzenia siedziby narodowej.

Inny przykład:

„Zjazd uchwalił przeprowadzić za pomocą swych członków wszelkie prące organizacyjne i oświatowe w **kierunku zlikwidowania** analfabetyzmu wśród robotników rolnych". Intencja zjazdu zasługuje na całkowite poparcie, chociaż wyrażona jest zdaniem niepoprawnym i niejasnym. Niewątpliwie wystarczyło by powiedzieć: zjazd uchwalił przeprowadzić prace organizacyjne i oświatowe w celu zlikwidowania analfabetyzmu.

Te i temu podobne zwroty jak np. „spisano protokół **w kierunku złożenia fałszywych** zeznań", ... "podniesiono zarzuty w **kierunku współpracy Ł.** z okupantami" zamiast: co do współpracy — spotykamy codziennie w potocznym języku polskim. W ostatnich czasach ów zwrot „**w kierunku**" usadowił się również w języku urzędowym. W okólniku jednej z instytucji znajdujemy:

...przy przeprowadzeniu mallcinizacji obowiązuje instrukcja w sprawie badania zwierząt jednokopytowych **w kierunku nosacizny.**

...z ogólną mallcinizacją koni mogą by połączone okresowe badania klaczy **w kierunku zarazy stadniczej".**

Z treści okólnika trudno wywnioskować, co znaczy „kierunek nosacizny", lub też „kierunek zarazy stadniczej", który tak pociąga klacze. Zapewne chodziło tu o zwrot: „badania zwierząt podejrzanych o nosaciznę, lub też podejrzanych o zarazę stadniczą.

Bliźniaczą odmianą powyższego zwrotu jest często używany zwrot **w kierunku na.** Jest to germanizm — zwrot przeniesiony z dzienników i czasopism niemieckich „In Der Richtung" do prasy małopolskiej, skąd później rozpowszechnił się w dziennikach polskich warszawskich i innych. Podobnie on dotychczas:

...Wojska arabskie posuwają się **w kierunku na** Tel-Aviv zamiast powiedzieć: wojska posuwają się na Tel-Aviv, lub też w kierunku **Tel-Avivu.**

J. N.

Wesoły TYDZIEŃ



Prośmy o okólnik

Na początku maja br. został wydany bardzo rozsądny i celowy okólnik Ministerstwa Leśnictwa, zalecający podległym Ministerstwu organom — roztoczenie zdrowej kontroli nad drzewami i krzakami w okolicy miast dla zapobieżenia tradycyjnemu niszczeniu drzew i krzewów w miesiącu maju. Kontrola i przewidziane w okólniku kary poskutkowały — w miastach było mniej zieleni, a w okolicach podmiejskich nie widać było normalnych „majowych" zniszczeń wśród drzewostanu.

Okólnik był celowy, choć napisano go strasznym językiem. Przytoczymy fragment:

„Zainteresowana ludność winna każdorazowo zwracać się do właściwych N-ctw które określa miejsce, sposób i czas pozyskiwania zieleni i wydadzą odpowiednie pisemne dowody, stwierdzające legalne pobieranie zieleni zgodnie z wymogami hodowlanymi i upoważniające do wywożenia jej z lasu i dostarczanie na miejsce przeznaczenia... Takie ujęcie zagadnienia z pewnością ułatwi kontrolę czynności, związanych z pobieraniem zieleni z lasów i uniemożliwi dokonywanie nadużyć na tym odcinku...".

Co to za styl, co to za język? Nie wolno kaleczyć drzew, ale i nad językiem należałoby roztoczyć opiekę. Może z kolei Min. Oświaty wspólnie z Min. Kultury i Sztuki wydadzą „odnośny" okólnik z takim „ujęciem zagadnienia", „pozyskiwania" i „pobierania" słów ze słownika, które by „uniemożliwiło dokonywania nadużyć na tym odcinku"?

A—Z

25-NA GOŁĄ...

W upalny dzień Bożego Ciała wybrałem się nad Wisłę. Ległem na trawie i ze wstrętem patrzyłem na gromadzące się chmury. Podobnym wzrokiem spoglądali na nie młodzi ludzie w żaglówkach, które uciekały do przystani przed zbliżającą się burzą.

Ale oto na ciemniejącą przed burzą Wisłę wypłynęła żaglówka „chojraków". Znajomi stojący na brzegu ostrzegali lekkomyślną parę.

— Zwariowaliście? Za chwilę będzie burza. Jak można wybierać się w taką pogodę z półtorarocznym dzieckiem?

Ale para „odważniaków" ułożyła już chłopaka w dziobie żaglówki, chwyciła za hebel i sznury, żaglówka poleciała na Wisłę.

Pierwsze uderzenie wiatru położyło łódź bokiem na wodzie. Stojąc na wysokim brzegu widzieliśmy nawet głowy obojga (chociaż może to była w sumie — jedna głowa?). Bo główka dziecka zniknęła, naturalnie, zaraz pod wodą.

Bardzo szybko znalazła się przy nich motorówka milicji rzecznej. Milicjanci odratowali, przywieźli do przystani, wypili po kieliszku wódki, uśmiechnęli się, zasalutowali i poszli do łodzi.

Dumna (nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zecer pomylił się w tym słowie) matka chodziła po przystani z przerażonym ciągle jeszcze dzieckiem w ramionach, uśmiechała się i przyjmowała gratulacje. A ja myślałem sobie, patrząc na nią z nienawiścią: zdjąłbym jej te shorty i wsypał 25 na gołą.

I myślałem jeszcze: poco Bozia daje ludziom ograniczonym takie śliczne dzieci?

A—Z

Quas NAGRODZONA SKROMNOŚĆ

— Czy pan naprawdę tak liczy literki? — zapytał jeden z panów.

— Nie. Naumyślnie. — odpowiedziałem poważnie.

— Jakto, naumyślnie? — zdziwił się drugi pan.

— No, przecież nie liczę niechcący, — wyjaśniłem.

— To chyba żarty. Nie może pan przecież liczyć tak prędko, — powątpiewał trzeci pan.

— Jakbym nie mógł, to bym nie policzył, — odpowiedziałem logicznie.

— I zaraz pan powie, ile jest liter w każdym zdaniu? — dopytywał czwarty pan.

— Zaraz powiem, — oświadczyłem.

— No, to proszę: „Chrząszcz brzmi w trzcinie"! Ile liter?!

— Dwadzieścia trzy, — powiedziałem.

— Niemożliwe! Czekajcie. Zaraz sprawdzimy! — zawołał pierwszy pan. — Dajcie ołówek!

Cztery głowy nachyliły się nad kartką papieru.

— Dwadzieścia dwa! — zawołał tri umfalnie jeden.

— Dwadzieścia dwa! — zawtórowały mu trzy głosy.

— Panowie chyba się mylą, — powiedziałem.

— Jakto, mylimy się? Dwadzieścia dwie litery, jak wół. Nie zgadł pan! Od razu wiedziałem, że pan nie zgadnie! — wołali jeden przez drugiego.

— Panowie darują, ale ja nie zgaduję. Ja liczę, — rzekłem dobitnie.

— Co pan tu opowiada takie rzeczy? Nikt by tego nie policzył w pamięci. Omylił się pan w zgadywaniu o jedną literę, ale i tak nie mamy pretensji.

— Przepraszam bardzo, — zaprotestowałem. — Ani nie zgadywałem, ani się nie omyliłem. Naliczyłem dwadzieścia trzy litery i twierdzę, że panowie musieli popełnić błąd przy liczeniu.

— No wie pan! To śmiechu warte! — zawołał jeden z panów. Czterech ludzi sprawdziło, że jest dwadzieścia dwie litery, a pan się upiera!

Ja się nie upieram — powiedziałem skromnie. — Nie chcę być tylko w kolizji ze swoim sumieniem, które mi mówi, że słuszność jest po mojej stronie.

— Więc masz pan! Licz pan sam! — jeden z panów podsunął mi kartkę z napisanym tekstem.



— Więc masz pan! Licz pan sam!

Rzuciłem na nią okiem i skłoniłem się uprzejmie.

— Panowie mają rację — przyznałem. — Bardzo przepraszam.

— Sam pan teraz widzi, że nie można być takim zaufanym w sobie, — poklepał mnie pobłażliwie pan, który napisał zdanie na kartce.

Ja jego też poklepałem.

— Jakby pan napisał „trzcina", to by się zgodziło, — szepnąłem mu na ucho. — Ale pan pisze „czcina". A to właśnie o tę jedną literkę chodzi.

Zaczerwienił się, zmiął kartkę i schował ją do kieszeni.

A mnie Bóg wynagrodził moją delikatność i skromność.

Bo na kartce był zapis z bridża, gdzie przegrałem dwieście punktów.

A bez kartki nikt się nie mógł połapać.

I nic się nie policzyło.

W SPRAWIE ZIÓŁ

Nie tylko „Tydzień" ale i inne tygodnie piszą obecnie o ziołach.

Jestem zaniepokojony.

W planie trzyletnim nic o ziołach nie było, a tu raptem.

Może oficjalny sabotaż? O co chodzi? Czy od razu mają nas wszystkich „na zieloną trawkę?"

I kogo? I czy należy używać tego przed, pod, czy po wódce? Czy też zewnętrznie, przez wcieranie? I komu się te „wciry" należą? Jeżeli to naprawdę ma służyć Odbudowie, to należałoby planowo. Koniecznie.

Wszystkich Zielińskich zorganizować w klub. Wydział Terenów Zielonych przy Zarządzie Miejskim podporządkować Wydziałowi Zdrowia, wydzielić zioła trujące, jak np. to ziółko — teściową mego przyjaciela przez którą on nagłej cholery dostaje i dlatego ogólnej akcji popierał nie będzie.



Rosiczka tak propagowana jest właśnie szkodliwa, bo owadożerna, a mój przyjaciel jest jak mrówka pracowity i jak pszczoła skrzętny, i dlatego ma ginąć? To nie jest społecznie.

Jemiołę natomiast popieram, mimo, że pasożyt, bo obniża ciśnienie, krwi, a mnie krew zalewa Krew mnie zalewa gdy na to patrzę.

W Warszawie jest taka przewaga kobiet w stosunku do mężczyzn, jak...o, jak nasza nad Czechami w ostatnim meczu. Jeżeli tak dalej pójdzie, to z tych wszystkich bezdzietnych starych panien, wyrosną sufrażystki i emancypantki, co może podkopać nasz świeżo utrwalony ustrój społeczny.

A pod jemiołą można z każdą, bo to tradycja, więc nawet reakcja poprze.



Jemioła, co tu dużo gadać, jest demokratyczna, koedukacyjna, oddolna, ma wydźwięk społeczny i leży w każdym sektorze, chociaż przede wszystkim wisi na drzewie. Powinna więc być uwzględniona i stosowana łącznie z lubczykiem.

Zatem frontem do jemioły, pod którą serdecznie Szanownych Czytelników całuję i przed którą zapraszam na kieliszek ziółkówki.

Wyłącznie.

Ziemiowit Ziółko-Zieliński
żonaty kawaler orderu Lubczyka
z Gwiazdą Rosiczki
(P.S. Przeprowadzam się do Zielonki)

Skleroza

W ubiegłym tygodniu nagrodę za „Sklerozę" otrzymał p. W. Czajkowski (Brzesko) w postaci książki M. Sadzewicza p.t. „Oflag".

JASNO — ALE NIE ZA BARDZO

„Echo dnia" w nr 138/781 zamieściło wiersz Jerzego Lovell'a pt. „Jasno". Oto dwa fragmenty wiersza:

KOBIETA W CZERNI:
Przeklinam niebo, które jest nad głową
Samolot zabił mi dzieci.
Przeklinam ziemię, która jest pod stopami
ziemia pożarła mi dzieci.
Biada niebu i ziemi.

DZIEWCZYNA Z TŁUMU:
Kocham każdą chwilę życia,
Każda chwila da się zamienić na ruch i radość,
Błogosławiony niech będzie wiek atomu,
Czczę go czerwonymi ustami.

CHÓR:
Oddala się ściana trwogi,
Ogłaszamy horyzont wolny od trwogi.

Pytamy p. Lovell'asa, czcząc go sinymi ustami: co znaczy tutaj tytuł „Jasno"? I ogłaszamy: jego horyzont myślowy może jest wolny od trwogi, ale nie jest wolny od blagi i poetyckiego bluffu. (Nadesłał: W. Czajkowski z Brzeska).

WRÓBEL URODZIŁ KONIA

W tym samym numerze znajdujemy w dziale ogłoszeń drugi „dobry numer":

„Unieważniam... metryki urodzenia własną i SYNA JÓZEFA — ŚWIADECTWO KOŃSKIE, legitymację Samopomocy Chłopskiej. Wróbel Piotr..."

Biedny Wróbel. I kto teraz uwierzy, że ma syna konia. (Nadesłał: W. Czajkowski z Brzeska).

CZŁONKOWIE RADY BEZPIECZEŃSTWA WALCZĄ WRĘCZ

Dowiadujemy się o tym z „Dziennika Bałtyckiego" nr 143. Pisze on:

„Przywódcy 5 państw arabskich zbiorą się dzisiaj, w dniu święta niepodległości Transjordanii, w Amanie, by powziąć decyzję w sprawie WEZWANIA RADY BEZPIECZEŃSTWA DO ZAWIESZENIA BRONI".

Według ostatnich wiadomości Abdullach wezwał już członków Rady Bezpieczeństwa do zawieszenia broni. Ale ci z Rady — niepomni pokojowych okrzyków Abdullaha — biją się po gębach dalej. (Nadesłał: J. Babuz z Gdyni).

NO WIĘC JAK — OB. STES?!

Informacjami swojego artykułu pt. „500 wodomierzy miesięcznie" drukowanym w „Głosie Wielkopolskim" nr 135/1156 pogrąża nas ob. (Stes) w rozterce. W pewnym miejscu artykułu pisze on:

„Poznań może się poszczycić, że w produkcji przyrządów kontrolnych „POSIADA WYŁĄCZNOŚĆ NA CAŁY KRAJ".

O dwadzieścia wierszy dalej w tym samym artykule:

„Fabryka poznańska NIE JEST JEDNAK JEDYNĄ, gdyż podobne znajdują się we Wrocławiu i w Toruniu".

Najpierw ob (Stes) napisał jak szowinistyczny Poznaniak i nagiał, ile wlazło. Potem jednak zwyciężyła w nim znana poznańska „solidność" i z bólem w sercu wyznał prawdę. (Nadesłał: R. M. z Elbląga)

NAPRZÓD! POGANIACZE Z „NAPRZODU"

„Naprzód" w nr 146 drukuje krótką ale jakże pogodną notkę sprawozdawczą z meczu „szczypiorniaka" w Katowicach:

„Rozegrany na boisku Pogoni mecz szczypiorniaka o mistrzostwo Ligi zakończył się wysokim zwycięstwem POGANIACZY nad drużyną spółdzielczą 17:6..."

Naprzód trzeba się nauczyć pisać po polsku, żeby „stać wydrukowanym" choćby w „Naprzodzie".

Poza tym: doszło do naszej wiadomości, że autor notatki otrzymał jako honorarium za nią — zagon roli. W związku z tym koledzy z redakcji nazywają go „zaganiaczem".

(Nadesłał: A. Szczepanek z N. Sącza)

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Rozwiązań zagadki Nr. 38 nadesłało 262 osoby z czego zaledwie 23 odpowiedzi były złe. Pozostałe orzekły, że rysunek dotyczy polskiego przysłowia:

„DŁUŻEJ KLASZTORA, NIŻ PRZEORA".

W drodze losowań otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Hanna Dłubarek — Zawiercie, Oddział „Społem", Franciszek Kroma — Tczew, ul. Mickiewicza 18, Aleksander Koch — Wrocław, ul. Boczna 11 — 5; M. Trzebuchowski — Kobyłka koło Warszawy, ul. Kraszewska 7; Zdzisław Bzdęga — Solec Kujawski, Gimnazjum Miejskie; Janina Czyżmianka — Warszawa, ul. Grażyny 15 „Społem"; Zbigniew Argasiński — Stoczek koło Małkini; Hipolit Lisowski — Białystok, ul. Św. Rocha 5 — 10; Mirosław Czechowicz — Łódź, ul. Piotrkowska 20 — 9; Maria Gilowska — Zakopane, ul. Strążyska „Tańko".

Wszystkie nagrody zostaną przesłane pocztą.



Powyżej podajemy zagadkę Nr. 42, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

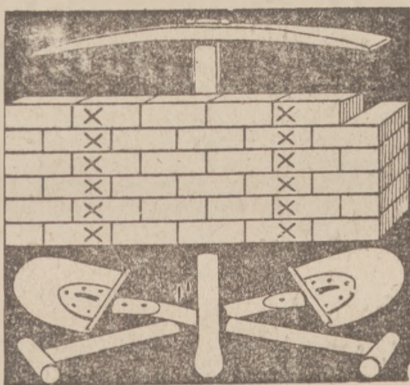
10 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 27 czerwca br.

Sprostowanie

W Nr. 21 (97) w „Zadaniu podwójnym" należy rysunek tak odczytywać aby zamieszczona na nim litera „N" była u góry.

LOGOGRYF



W podaną figurę należy wpisać poziomo sześć wyrazów o podanym znaczeniu. Rzędy pionowe oznaczone krzyżykami dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) Dawny polski podatek, uiszczany w zbożu przez włościan, 2) zmartwienie, 3) kompozytor francuski (1632 — 1687), 4) miasto nad morzem Czarnym 5) rodzaj dawnej broni, 6) astronomiczna jednostka odległości.

ul. „Marmisz"

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Reprodukowane dziś znaczki, to najnowsza lotnicza seria węgierska, przed stawiająca słynnych wynalazców i odkrywców. Seria ta, drukowana w Drukarni Państwowej w Budapeszcie, weszła do obiegu 15 maja br. Poszczególne znaczki są rozmiaru 37×26 mm.

A oto przegląd pojedyńczych znaczków:

Znaczek o nominale 1 filler przedstawia Jana Gutenberga (1393—1468), wynalazcę druku. Po prawej stronie widzimy prymitywną maszynę ojca światowego drukarstwa na tle nowoczesnej rotacji. Znaczek jest czerwony. Drugi znaczek, fioletowy o nominale 2 f. wyobraża Krzysztofa Kolumba (1450—1506), odkrywcę Ameryki, a obok jego statek „Santa Maria" na tle mapy Ameryki.

Na trzecim znaczku za 4 f, niebieskim, widzimy Roberta Fultona (1765—1815), konstruktora statku parowego. Po jego prawej stronie widzimy pierwszy parowiec na tle „Queen Mary", najnowocześniejszego transatlantyka.

Brunatno - czerwonawy znaczek o nominale 5 f przedstawia Jerzego Stephensona (1781—1848), wynalazcę parowozu i na tle nowoczesnej maszyny pierwszą lokomotywę na świecie.

Ostatni znaczek w pierwszym rzędzie, zielony za 6 f, wyobraża Dawida Schwarza (1845—1897) i Ferdynanda Zeppelina (1838—1917). Ten pierwszy, Węgier, jest jakoby wynalazcą sterowca, który przez Zeppelina został tylko udoskonalony.

Drugi rząd rozpoczyna znaczek liliowy za 8 f, na którym widzimy Tomasza A. Edisona (1847—1931), a na lewo od niego aparat filmowy zdejmujący statuę wolności w Nowym Jorku i unoszącego się na nią sterowca.



Na następnym znaczku, brunatnym o nominale 10 f, widzimy Franciszka Blériot (1872—1936), jednego z wynalazców samolotu. Obok znajduje się maszyna, na której Blériot przeleciał kanał La Manche i nowoczesny czteromotorowiec.

Ósmy z kolei znaczek, za 12 f w kolorze zielono-niebieskawym, przedstawia Roalda Amundsena (1872 — 1928), znanego podróżnika podbiegunowego. W głębi widzimy wśród lodów statek Amundsena podziwiany przez polarne go niedźwiedzia.

Na znaczku za 30 f, czerwonym, widać Kolomana Kandó (1869—1931), węgierskiego konstruktora elektrycznej lokomotywy i jego dwie maszyny — pierwszą i najnowocześniejszą.

Ostatni znaczek niebiesko - szary, o nominale 40 f, wyobraża Aleksandra Popova (1859—1906), jednego z wynalazców radia. Na lewo od niego widzimy pierwszy odbiornik radiowy na tle kuli ziemskiej objętej przez dwie anteny — historyczną i nowoczesną.

Witold J. Orlowski

KONKURS JUBILEUSZOWY

W dzisiejszym numerze ogłaszamy nowy konkurs na Rozrywki umysłowe, który z uwagi na zbliżający się numer jubileuszowy (100) naszego pisma nazwiemy „Konkursem Jubileuszowym" i który trwać będzie do 27 czerwca br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 15 lipca br.

Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a po między pozostałych którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia — również książkowych.

Wraz z rozwiązaniem prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy zadania najlepsze wytypowane przez Czytelników, przyznane będą trzy specjalne nagrody książkowe. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

SZARADA

Jeśli po pracy szukasz wytchnienia
W „Tygodniu" znajdziesz **pięć - czwarte - pierwsze.**
A kiedy jego przeczytasz wiersze
Twój nastrój w jakieś lepsze się zmienia.

Bo „Dział rozrywek" **wspak pięć - ośm - siódme**
Szarego życia samotne chwile
Wie, że czytamy jak zwykle mile
I że lektury takiej się głód ma.

Wszak miłośnikom szarad rebusów
Podaje **dziewięć - dziesięć** zadania
Sześć - trzy jak może swoje starania,
By dział ten wolny był od minusów.

Więc czytelniku piąte - drugie go,
Że twojej sprawie służy tak wiernie,
Choć w rozwiązaniach spotykasz ciernie
Zwalczaj przeszkody by dopiąć swego.

Niech ci się nie **czwór - trzy** włos, jeżeli
Twój list do **piąte - siódmego** wpadnie.
Nie każdy wszystkie zadania zgadnie,
Lecz każdy wszystkie ze mną podzieli.

ul. Ar

Odpowiedzi Redakcji

P. Jerzy Nowicki — Orneta (Gimnazjum). Książki wysłaliśmy dopiero w bieżącym tygodniu, gdyż nie otrzymaliśmy w terminie zamówionych książek.

P. Luśka z Częstochowy. Źle Pani zrozumiała podawane przez nas wykazy dzieci. Dla uspokojenia Rodziców podajemy wykazy tylko tych dzieci, których zdjęcia nie zostały jeszcze zamieszczone, te zaś, które już były oczywiście biorą udział w konkursie. Wybór „Najmilszego Dziecka Tygodnia" będzie należał do Czytelników, którzy w drodze losowania zadecydują o tym, które dziecko zdobędzie ten tytuł. W tym celu podajemy kupony plebiscytowe w każdym numerze. Zaznaczamy jeszcze raz, że w konkursie biorą udział wszystkie dzieci, których fotografie będą zamieszczone w „Tygodniu" poczynając od Nr 8(84) aż do wyczerpania zdjęć nadesłanych na konkurs.

P. Marian Zalewski — Olsztyn. Kolejny numer fotografii córki Pana był 466, ponieważ jednak, aby szybciej konkurs zakończyć, (gdyż Czytelnicy zainteresowani niecierpliwią się), zaczęliśmy podawać zdjęcia taśmowo, aby wyzyskać jak najbardziej miejsce i módz więcej fotografii zamieścić. Musieliśmy z tego powodu dobierać fotografie odpowiednie rozmiarami i wobec tego kolejność uległa zmianie. Te zaś, których nie można dopasować z innymi zamieszczamy osobno na przedostatniej lub ostatniej stronie. Zaszła więc konieczność zmiany numeracji. Z tego powodu córeczka Pana posiada obecnie numer 531.

P. Antoni Wojciechowski — Łódź. ul. 6 Sierpnia 22. Żądany numer „Tygodnia" wysłaliśmy, fotografie będziemy zwracali stopniowo. Nawał pracy związany z przygotowaniami do numeru Jubileuszowego „Tygodnia" nie pozwala nam wcześniej tego uczynić. Zrobimy to w każdym bądź razie niedługo. Wszystkie fotografie których zwrot zastrzegali sobie nasi Czytelnicy będą zwrócone, o ile dołączone zostały do zgłoszenia znaczki na przesyłkę zwrotną.

P. E. Kochański — Włochy. Ze względu na konieczność jaknajwiększego wykorzystania miejsca, musimy zamieszczać zdjęcia taśmowo i z tego powodu podpisy, ze względów technicznych, dotyczące danego rzędu dzieci muszą być zamieszczane w ciągu. Jest to pewna niewygoda dla Czytelników, a nam pozwala za to zamieścić w każdym numerze o 12 zdjęć więcej. Zdjęcie okładkowe, o którym Pan wspomina prosimy nadesłać, o ile będzie odpowiednie — to niewątpliwie je wykorzystamy. W wypadku nadesłania kilku jednakowych wycinków do „Sklerozy" decyduje kolejność nadesłania lub losowanie.

P. Zbigniew Stasiłowicz — Bydgoszcz. Winno być seta. W zadaniu tym wkradł się błąd, zamiast „pled" w odpowiedzi wypada „plet". Stało się to przez przeoczenie. Prosimy o nadsyłanie projektów różnego rodzaju zadań, możliwie łatwych, bez rysunków. Pożądane są rebusy. Krzyżówkę wykorzystamy.



Znakomity rysownik — bardzo lichy prorok

Wpadł mi przypadkiem do ręki egzemplarz „New-York Times" z r. 1928, a więc równo sprzed 20 lat. W numerze tym świetny rysownik James Flagg, w transie proroczego natchnienia stworzył plastyczną wizję sylwetki kobiecej „za lat dwadzieścia". Ponieważ owe dwadzieścia lat akurat ubiegło, interesująca będzie konfrontacja przepowiedni ze stanem faktycznym.

Według zdania Flagga — **„okres 20 lat najbliższych poczyni w wyglądzie zewnętrznym kobiet tak kolosalne zmiany, że fotografie obecne (z r. 1928) będą oglądane jako curiosa, przypominające czasy głębokiego średniowiecza".**

Drugi fragment proroctwa — **„dotknięte coraz szerszą „popularyzacją łysiny" — kobiety w r. 1948 będą nosiły wyłącznie długie włosy, by te łysiny kryć i maskować."**

Najmarniej jednak się popisał niefortunny prorok w swojej wizji, dotyczącej sukien, przewidując, że — **„sukien właściwie nie będzie. Będzie odzienie ale suknie przejdą do historii. Dążymy do wygody, a przecież nawet najkrótsza sukienka tamuje ruchy. Więc będzie tylko coś bardzo króciutkiego, eterycznego wokół bioder, jakiś leciutki staniczek i na tym koniec. Nie będzie się „tego" szyło u krawcowych ani w domu, gdyż fabryki będą wyrabiały owe stroiki masowo i z najrozmaitszych tkanin — od najskromniejszych do najbardziej wykwintnych. Rękawy znikną zupełnie, oglądać się je będzie tylko w muzeach."** Itd. i temu podobne cuda wtdział oczyma wyobraźni „za lat dwadzieścia" genialny wizjoner.

Bawiąc się w Pytię lekkomyślny James nie uwzględnił jednego — że moda nie ma nic wspólnego z logiką, że nie idzie zawsze w parze z postępem i miewa często ataki histerycznego wstecznictwa, jak np. obecna moda z jej potwornie obfitymi draperiami, halkami, gorsetami i w ogóle — jej „prababciną linią".

Ewa



Kto jest twórcą Czerwonego Krzyża?

Twórcą Czerwonego Krzyża był Henryk Dunant. Powstała z jego inicjatywy Komisja Pięciu przekształciła się w stały Komitet Międzynarodowy, który w roku 1863 zwołał konferencję genewską. W roku 1864 proklamowali delegaci 14 państw nietykalność rannych, chorych i wszystkich tych, którzy się nimi opiekują, oraz przyjęli jako godło znak krzyża czerwonego.

Jednak wcześniejszym od Dunanta pionierem akcji Czerwonego Krzyża była Florencja. Nightingale, która już w roku 1854 w wojnie krymskiej pierwsza urzeczywistniła piękną opowieść biblijną o miłosiernym samarytaninie.

Cierpiąc moralnie nad gehenną nieszczęśliwych rannych żołnierzy, którzy w wojnie tej znajdowali się w warunkach nad wyraz ciężkich. Florencja Nightingale postanowiła w miarę możności nieść im pomoc. Apel jej, wzywający kobiety angielskie do samarytańskiej akcji, dał zdumiewające wyniki. W krótkim czasie udało się jej zorganizować pierwszy oddział kobiet, które w liczbie 38 wyruszyły pod jej kierownictwem na pole walki. Czyn szlachetnej kobiety spotkał się z poparciem rządu angielskiego, który wyposażył ekspedycję w środki opatrunkowe i fundusze.

Trzy lata trwała w Turcji samarytańska praca Florencji Nightingale, która wkrótce stała się aniołem stróżem i pełną poświęcenia opiekunką chorych i rannych żołnierzy. W wojnie tej, pozbawionej szpitali i jakiejkolwiek pomocy lekarskiej, ranni żołnierze przeżywali straszne katusze, a pole bitewne było rajem w porównaniu z tym, co czekało rannego żołnierza z chwilą, gdy padał ugodzony ciosem nieprzyjaciela.

Wkrótce dzięki prasie, która przedrukowała listy żołnierzy, wielbiące swoją opiekunkę i patronkę, akcja Florencji Nightingale doznała należytego zrozumienia i poparcia przez społeczeństwo angielskie. Zasilona nowymi oddziałami sanitariuszek oraz wydatną pomocą materialną. Florencja Nightingale doprowadziła swoją misję do końca.

Utworzone z dobroci serca samarytańskie jej dzieło zaczęło rozwijać się szybko, doprowadzając do powstania organizacji międzynarodowej opartej na najszczytniejszych hasłach Czerwonego Krzyża, dla którego nie istnieją dziś ani granice, ani rasy, czy wyznania, gdyż służy jedynie nieszczęśliwym i potrzebującym pomocy i jest spełnieniem przykazania miłości bliźniego.

Nieśmiertelne dzieło skromnej samarytanki trwa, lecz imię jej poszło w zapomnienie. Zostało nieznane i nic nie mówiące, jakkolwiek powinno stać obok imion, najgłośniejszych w historii świata.

W zapomnieniu zmarła w r. 1910.

(f)

„Grzanka"

Zwyczaj „toastów" w Anglii powstał z tego, że do każdego garnka z piwem wkładano grzankę (toast), która się dostawała temu, kto wypił ostatnią szklankę. Raz gdy Anna Boleyn, żona króla Henryka VII, kobieta bardzo piękna, kąpała się w wannie, panowie z jej orszaku chcąc się jej przypochlebić, wzięli po szklance i zaczerpnąwszy wody z wanny pili jej zdrowie. Tylko jeden z panów nie poszedł za ich przykładem.

Zapytany dlaczego nie pije zdrowia jej, odrzekł:

— Ja czekam na grzankę.

Odpowiednie skierowanie energii dziecka

(Zapobieganie zamiast karania)

Gdy koń się rozbryka, można go „usadzić" dwoma sposobami: zatrzymać siłą na miejscu, unieruchomić, albo zaprząc do wozu i tą samą energię wyładowaną ze szkodą dla nas — pokierować na tory dla nas pożądane.

Czemuż tego drugiego sposobu nie zastosować do rozbrykanego źrebaka ludzkiego?

Zamiast karać za t. zw. „dokazywanie" należy raczej nadmiar jego energii zużytkować w kierunku dla niego korzystnym przez dostarczenie mu zajęcia dla niego miłego i przyjemnego — przez **sport** (zwłaszcza zbiorowy, gdyż ten uczy żyć w gromadzie, w społeczeństwie — czyli uspołecznia), gimnastykę — a nawet (gdy dziecko starsze) książkę, kółko samokształceniowe, odpowiedni film, teatr, radio, koncert itp.

Podałem rozrywki umysłowe (ważne!) ale nie obejdzie się tu nigdy bez sportu, gdyż ruch na powietrzu posiada kolosalne znaczenie dla zdrowia.

Jeżeli my bowiem ludzie dorośli jesteśmy więksi i silniej rozwinięci od dzieci — to stało się tak dlatego, że używaliśmy w dzieciństwie ruchu, który wyćwiczył i rozwinął nasze ciało i organizm.

To też zbrodnią jest unieruchomienie figlującego urwisa za pomocą kary: jego organizm wymaga ruchu jako sprężyny rozwoju cielesnego. Wskazanym jest natomiast nadać jego słusznemu dążeniu do ruchu kierunek pożądany.

Nie ruch należy zwalczać — ale jego kierunek.

Chodzi tu po prostu o to, by dziecko tak silnie się zużywało w sporcie, w grze ruchowej, by już mu nie starczało energii i sił na bezmyślne lub (co gorsza) brutalne figle. Znużone wysiłkiem sportowym dziecko nie będzie dokazywać, choćbyśmy je do tego zmuszali, gdyż nie sprawi mu to zadowolenia — a naodwrót spowoduje uczucie przykrości.

Dziecko powolne (t. zw. „grzeczne") należy skłaniać do ruchu na powietrzu, gier, sportu — nie zaś utrwalać je w „grzeczności".

Ruch na powietrzu pogłębia oddech, wzmacnia płuca, mięśnie, ćwiczy serce.

W stosunku do wychowanka należy zastosować hasło Komisji Edukacyjnej: „by jemu było dobrze — i z nim było dobrze".

Poza sportem należy popierać u dzieci zabawy zarówno fizyczne jak i umysłowe — i nie tylko dlatego, że one uspołeczniają młodzież.

Jak wykazał uczony niemiecki Gross zabawa wbrew rozpowszechnionym poglądom jest sprawą bardzo poważną.

Jest ona rodzajem przysposobienia życiowego: ciało dziecka w zabawie zyskuje na sprawności, potrzebnej w dalszym życiu.

W zabawie, a zwłaszcza **w sporcie należy strzec się jak ognia przemęczenia, które wytwarza w organizmie truciznę, niszczy serce.**

W takim wypadku sport jest raczej szkodliwy, powodujący chorobę lub nawet śmierć, a w każdym razie zubożają duchowo, gdyż zmęczenie ciała pociąga też za sobą zmęczenie umysłu, więc niemożność czytania, myślenia naukowego, przeżywania dzieł poezji i sztuki.

A przecież zdrowie ciała stanowi tylko środek do celu.

Celem jest zdrowie ducha.

Zabawa umysłowa w sposób dla dziecka przyjemny — a więc skuteczny — rozwija umysł.

Istnieje w psychologii prawo „dążności czynnościowych" („tendencyj funkcjonalnych"), które głosi, że usposobienie nasze, energie zamilowania dążą do przejawienia się w czynie.

Tłumienie czynnych dążeń za pomocą groźby czy kary powoduje fatalne skutki dla zdrowia duszy i ciała.

Streszczamy się: energia dziecka jest jak górski, rwący potok — wychowanie rozumne zaś jest pewnego rodzaju kanalizacją, która nieobliczalny rozpęd potoku ujmuje w pewien system, ład, która planowo rozprowadza żywiołową energię dziecka w zasadzie bezplanową i chaotyczną.

Bronisław Poletur

Wykaz dzieci, których fotografie będą zamieszczone w „Tygodniu"

5 LISTA

Januszek Bass (Chorów), Emma Jeleńska (Zabrze), Januszek Stankiewicz (Warszawa), Malinka Tarkiewicz (Warszawa), Janusz Zdrodowski (Warszawa), Jerzy Bukowiński (Płock), Wiesia Kiliańska (Sandomierz), Alisia Kopicka (Poznań), Elżunia Ejsmontówna Świdwin, Wiesia i Basia Pawłowskie (Wejherowo), Janusz Stróżyk (Poznań), Elżunia Trojanowska (Gostynin), Staś Koza (Czchów Zapora), Andrzej Piątkowski (Warszawa), Izunia Klimaszewska (Broków), Danusia i Bożenka z Siemianowic, Boguś Penconek (Warszawa), Basia Krauze (Bolesławiec), Toluś Bobiński (Warszawa), Wituś Sowiński (Kielce), Czaruch Szczepaniak (Ząbkowice), Januszek Kalosza (Kamieniec), Anulka Frenkiel (Łódź), Marylka Białowąs (Piotrków Tryb.), Mirusia Kleniewska (Lublin), Grażynka Mączkówna (Żółkiewka), Maciuś Matusz (Głogówek), Jaś Naskret (Wejherowo), Lilka Lewandowska (Gorzów), Marian Gawliczek (Katowice), Ewunia Miętus (Mościce), Andrzej Chmielewski (Włocławek), Jola i Jędrek Chmielewscy (Włocławek), Eulalia, Włodzio, Ireneusz i Bożenka Ciecierscy (Morąg), Zosia Bartosik (Starachowice), Lilka Górecka (Gorzów), Marysia Piłatówna (Gdańsk), Ewunia Hłuchówna (Ząbkowice), Wandzia Serhejczuk (Świdnica), [illegible] i Jędruś Mróz (Linsko), Maryś Zawada (Wieluń), Sławek Bleszczad (Błaszki), Tesia i Atuś Olszewscy (Limanowa), Rysio Prejs (Łódź), Rysio Talar (Chrzanów), Bernadetta Przybył (Gostyń), Irmusia Nowacka (Gniezno), Mysia Łosicka (Gniezno), Mariola Zarzycka (Bydgoszcz), Basia J. i Andrzej K. (Nowy Tomyśl), Audrzej Tomski (Tczew), Małgosia Kupś (Szczecin), Irka Paczkowska (Gaj Wielki), Halinka Gospodarek (Częstochowa), Basia Taran (Warszawa), Ewunia i Jędruś Kotowscy (Nałęczów), Krzyś Wojciechowicz (Starachowice), Miruś Koziuk (Warszawa), Marek Bloch (Lublin), Basia Krzysztofiakówna (Poznań), Bogusia Trzeciak (Kraków), Elżunia Krupniewska (Łanięta), Maciuś Przywara (Jędrzejów), Włodzio Draczyński (Warszawa), Zdzisio Kusaj (Lublin), Zbyszek Czajkowski (Kutno), Nina Pruszkówna i Lesio Blando (Rajgród), Danusia i Jaś Ossowscy (Warszawa), Bożenka Taglewska (Złotokłos), Tomasz Śniegocki (Żyrardów), Duduś Loranty (Ostrowiec), Elżunia Kwolczak i Jurek Eisenberger (Przemyśl), Wituś, Elżunia i Basia Siekierscy (Węgrów), Jacek Poreda (Krzywiec), Jurek Bronisławski (Oświęcim), Halinka Brudło (Zielona Góra), Zuza Godlewska (Łowicz), Marysia Zborowska (Łódź). Krysia, Henryk i Teresa Patora (Łódź), Dzidzia i Tadzio Klemm (Węgrów), Jeś Welcher (Wrocław), Rena Słowikówna (Toruń), Andrzej Nowacki (Zielona Góra), Michaś Grudziński (Katowice), Jurek i Stasio Pietras (Łódź), Irenka Ejsmond (Białystok), Basia i Dzidzia Kubalanka (Kraków), Jurek Goniewicz (Legnica), Andrzej Nyka (Barcin), Stasio Ligas (Łódź), Zbyszek Grzegórski (Okęcie), Krysia Mazurek (Konin), Ewunia Nawrot (Nowy Targ), Marysia Kozłowska (Gdynia), Wojtuś, Sławek i Duduś Ulińscy (Lublin), Krysia i Zosia Siedleckie (Zamość), Wiesio Abraham (Grodzisk Mazow.), Elżunia i Alinka Styrmówny (Nysa), Hania Gawrońska (Końskowola), Jędruś Lewandowski (Pniewo), Basia Jastrzebska (Drwalew), Elżunia Zyskowska (Ostrołęka), Lilusia Westerska (Łowicz), Marysia i Jurek Fijałkowscy (Lublin), Marysia Piasecka (Lublin), Rita Szram (Chorzów), Haneczka Bienias (Łańcut), Telunia Kulbacka (Raczki), Seweryn Jagła (Grabkowo), Piwonka Lempe (Czarnków), Andrzej i Wojtuś Milczyńscy (Nowy Tomyśl), Zygmuś Zawisz (Olsztyn), Elżunia Kozłowska (Nowy Targ), Zbyszek i Danusia Marscy (Legionowo), Alinka i Czesia Łoniewskie (Białystok), Juruś Szewczyk (Żegocina), Marek Bronowicz (Ząbkowice), Elżunia Stepień (Kublice), Danusia Kosiarska (Warszawa), Boguś Krysiak (Inowrocław), Włodzio Janic (Warszawa), Piotruś Reichs (Wrocław), Jerzy Myszor (Kostuchna), Jędruś Indulski (Nidzica), Jurek Korman (Brzesko), Maria Hubalówna (Wadowice), Rysio i Zbyszek Osina (Gdańsk), Ewa Berszakiewicz (Szczebrzeszyn), Jerzy Warta i Gabrysia Kwokówna (Choroń), Walduś Jedruszczak (Chełm Lub.), Maciuś Zygierski (Białystok), Genio i Romuś Marciniak (Niemodlin), Ewa Bulińska (Łódź), Włodzio Racławicki (Gorlice). **ciąg dalszy nastąpi.**

ZDJĘCIA KONKURSOWE



508 Mirosława Środowska (Warszawa)



507 Młodzi Baczyńscy (Warszawa) na wycieczce



531 Elżunia Zalewska (Olsztyn)



522 Hanusia Grocholska (Leszno)



638 Ala i Basia Tengli (Warszawa).

JUŻ NIEDŁUGO WAKACJE!

Modele i fotografie: „AMERICAN GIRL"



511 Grażynka Lochówna (Sosnowiec)



516 Jurczek Kauch (Zduny)



644 Eja i Ania Wasilewskie (W-wa).



641 Basia Ciesińska (Sosnowiec).



643 Wojtuś i Marek Lipko (Starachowice).



512 Wojtuś Frejnik (Warszawa)



515 Bonia Brochocka (Kutno)

Z SZEROKIEGO świata



Królewskie dziecię — Karol Gustaw, następca tronu szwedzkiego, liczy sobie już 2 lata życia. Z racji swego urodzenia nosi tytuł księcia Jamtlandu. Poza tym wielki książę jest najzwyczajniejszym bobasem, który zawzięcie uprawia jazdę na hulajnodze.



Boże Ciało w Myszyńcu — sercu puszczy Kurpiowskiej.



18 czerwca cały świat kulturalny obchodzić będzie 12-tą rocznicę zgonu genialnego pisarza rosyjskiego Maksyma Gorkija.



„Wolność amerykańska". Policja rozpędza strajkujących robotników w Kanzas City.



Ładunek „ciężkiej wody", będącej podstawą produkcji bomby atomowej, padł ofiarą złodziei. Przygotowane przez chemików hitlerowskich 8 butli „ciężkiej wody" znalazły się na „czarnym rynku". Na szczęście policja unieszkodliwiła tę próbę „atomowej inicjatywy prywatnej" i sprawcy kradzieży stanęli przed sądem wojennym w Monachium.



Król Transjordanii Abdullah, główny przywódca Ligi Arabskiej w otoczeniu sztabowych oficerów armii arabskich.





Na froncie walk palestyńskich zarówno Żydzi, jak i Arabowie operują najnowocześniejszą bronią. Po lewej — żydowscy grenadierzy w akcji, po prawej pozycja moździerzy „Arabskiej Armii Wyzwolenia"



Tak wyglądasz, kiedy przebierzesz miarkę! Najpierw wódeczka, potem — pijackie serdeczności!...





W Y D A W C A: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 80-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.

R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa